

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Nr. 17

Kraków, dnia 25 marca 1945 r.

Rok II

JULIAN PRZYBOS

### Miejsce na Ziemi

#### Ziemią gwiezdnie pojętą

Ziemią, ornice pojętą,  
aż tak idąc, aby tylko przekraczać widnokrąg —

Urodzony do pluga — z nadmiaru Ziemi zostałem  
poetą.

Ziemi klaniam się niebem.

Chłopa mojej sprawy  
tak pojąwszy człowieka od rąk siewnych do rąk,  
że dopiero sumując z tobą i — z tobą siebie,  
liczę w rytmie serca powstające masy —

Wywieram ze słów swoją władzę: zachwył.  
Znajduję miarę, jej srebrny odlew: masyw.

#### Ciężar poematu

Szedłem lotny, lekki od pióra,  
świat się ufnie oczom powierzał,  
aż na skręcie, nagle, wzrósł.  
Patrzę: zieleń tak górna,  
jak gdyby całą przestrzeń skopiono w korony  
kasztanów.

Na nich niedokonany czas mojego wiersza  
stanął.

Nic, tylko złoty obłok wytłaczał w błękitie wzór  
chwili,  
jakieś piskląt ćwiczyło się wymawiać jej, imię;  
przystanąłem na zakręcie słowa.

Czekam, aż się wzruszenie jak drzewo na tym stoku  
przyjmie,  
aż wypełni rzeczywistość wezbraną —

Aż obarczony węglarz, za mnie zrzucając wór,  
pochylił się,  
wprostował,  
odsapnął.

#### Po orce

Ręce, zmęczone, odrębnie ode mnie,  
dzierżą pustą objętość po czepigach pluga,  
ster nieruchomy znużenia.

Leżę,  
spod pleców rozluźnia się zorana powierzchnia  
na równię pochyla marzeń  
i, jak wznoszący się samolot, ulga  
odłącza ode mnie ociężałość roli,  
czuję: Ziemia mnie waży.

Powoli,  
najszerzej  
oddycham oddaleniem.

#### Powrót czyli Malejące góry

Z daleka, zza spojżenia,  
za którym miejsca się szerzą na rozgłość  
dzwonów,

wraca  
udokumentowany spędzoną przestrzenią,  
napierany przez strony świata  
on, górnik od stóp do gór oczerniony nocą,  
i łopata ułatwia mu się z rąk w postaci szybowa.

Doliny za nim zapadają zaocznie,  
e on, pytany o paszport, wskazuje zamiast pieczęci  
jedno koło pociągu,  
dzwon  
i góry malejące jak owce na łąkach.

Na wyoranym kamieniu  
odpocznie,  
zakładając rękę na rękę:  
nową swoją miejscowość,  
której za mało, ażeby zamieszkać,  
ale tyle by umrzeć,  
i odejmie skibę roli od ojczyzny.

Lasy za nim porzucone obrastają w niebiosach.

Bezczynny  
jak się chwycił pierwszej z kraju jabłoni,  
jak patrząc jął się skowronka!

JAN KOTT

### Sprawa książki

#### STRATY

Wśród klęsk, jakie wyrządziła nam okupacja niemiecka, na drugim miejscu po całkowitemu Warszawy, należy postawić zniszczenie polskiej książki. Nie doceniamy na ogół zupełnie ogromu strat, jakie ponieśliśmy w książkach. Musimy zdać sobie sprawę, że Kraków jest dziś jedynym miastem w całej Polsce, które posiada stosunkowo nienaruszone biblioteki, prywatne księgozbiory i magazyny księgarskie. Ocalały co prawda w Warszawie biblioteki: Uniwersytecka i Narodowa, ale minie co najmniej rok zanim zostaną do tego stopnia uporządkowane, aby można było z grubsza określić rozmiar strat. Wszystkie inne księgozbiory warszawskie spłonęły, albo butwieją pod gruzami i śniegiem, a pamiętajmy, że Warszawa miała co najmniej połowę wszystkich książek, jakie były w Polsce. Kilkanaście księgozbiorów, jakie udało się przypadkowo ocalić, nie zmieniają ogólnego obrazu. Poza Warszawą i Krakowem nie mamy obecnie w Polsce żadnej poważnej biblioteki. W czasie walk o Poznań spłonęła Biblioteka Raczyńskich a przed tym jeszcze w czasie nalotu angielskiego, przechowywane w Poznaniu biblioteki pomorskie i Biblioteka Kórnicka. Miasta prowincjonalne są ogolocozone z książek. W ciągu pięciu lat okupacji stopniowo, ale systematycznie niszczone wszystkie prowincjonalne biblioteki miejskie, szkolne i wojskowe, wywożono je, albo pozwalano rozkradać. Jeszcze groźniej przedstawia się stan książki polskiej na terenach przyłączonych do Rzeszy. Tam książki polskiej nie ma zupełnie. Są dziś całe wiosie, gdzie dzieci nie mogą czytać na gazecie, są szkoły, gdzie nie ma „Odrodzenia” — są główną lekturą literacką. Straty, jakie ponieśliśmy w dziedzinie książki, można śmiało ocenić na 95% stanu przedwojennego. Głód książki jest dziś nieporównanie większy, niż głód chleba.

#### LITERATURA WSPÓŁCZESNA CZY WZNOWIENIA

O Warszawie mówi się i pisze. Odbudowa Warszawy stała się osobistą sprawą każdego z nas. Sprawa odbudowy książki pokryta jest jeszcze ciągle milczeniem. Owszem, mówi się, ale wyłącznie o wydawnictwach literatury współczesnej. Wszyscy oczekujemy z niecierpliwością nowych polskich powieści, wierszy i dramatów. One jedne pozwolą nam zmierzyć się raz jeszcze z grozą przeżytych dni, ocenić zmiany, jakie zaszły w nas i obok nas. Ale musimy pamiętać, że książki współczesnych autorów nie rozwiążą nigdy sprawy masowego czytelnictwa. Niewątpliwie w ciągu roku ukaże się ustawa biblioteczna. Wieś otrzyma książki. Powstanie gęsta sieć nowych bibliotek gminnych, szkolnych, spółdzielczych, powstaną wypożyczalnie objazdowe. Otóż trzonym tych wszystkich bibliotek nie może być nigdy literatura współczesna, ani żadna literatura specjalna. Podstawy masowego czytelnictwa tworzą zawsze wznovienia klasyków.

Likwidacja obszarnictwa a potem uprzemysłowienie kraju, stworzy mocną materialną bazę rozwoju nowej, młodej inteligencji. W ciągu pięciu lat potrzeba nam będzie co najmniej dziesięć milionów książek, i to nie licząc podręczników szkolnych. Wybór książek, jakie mają zostać wydane, zdecydowanie niewątpliwie o obliczu duchowym przyszłej polskiej inteligencji. O tym nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć. Od trafnego rozwiązania spraw wydawniczych zależy w znacznej mierze losy kultury polskiej. Powtarzam: książka dla bibliotek — to wznovienia literackie.

#### MUSI BYĆ PLAN WYDAWNICZY

A teraz sprawa najważniejsza, kto będzie te książki wydawał, państwo, spółdzielnie wydawnicze czy prywatni wydawcy? Jedno jest niewątpliwie, że pozostawienie wznovień literackich dobrej woli prywatnych wydawców położyłoby książkę polską na długie lata. Zarówno doświadczenia przedwojenne, jak i praktyki wydawców podczas okupacji dowodzą niezbicie, że większość z nich kieruje się w sprawach wydawniczych jedynie dążeniem do maksymalnego zysku. Przypomnijmy choćby tylko, jak unicestwili wydawcy projekt pisarzy, aby opodatkować na cele kultury książki, dla których wygasły prawa autorskie. Z drugiej strony objęcie przez wydawnictwo państwowe wznovień literackich groziłoby nieuchronnym zbiurokratyzowaniem pracy, która wymaga stale swobodnej inicjatywy i twórczych pomysłów. Ponadto musimy pamiętać, że zadanie, które nas czeka, jest tak wielkie, że nie potrafi mu nigdy sprostać żadne, choćby największe poszczególne wydawnictwo. I jedno jeszcze: w rękach prywatnych wydawców znajdują się dziś nagromadzone poważne środki organizacyjne i techniczne; nie myślę ani o kapitale, ani o papierze; myślę o prawach autorskich, o gotowych opracowaniach, o planach wydawniczych. Jeżeli do pracy nad odbudową gospodarczą kraju wciągamy prywatne fabryki i warsztaty, również i w dziedzinie odbudowy książki wyzyskać musimy wszystkie istniejące możliwości i środki techniczne. Chodzi jedynie o to, aby uniknąć przypadkowości i marnotrawstwa, aby wychodziły książki ważne dla rozwoju kultury społecznej, a nie te, które dają tylko maksymalny zysk.

I dlatego konieczny jest centralny plan wydawniczy, dostatecznie szeroki, aby umożliwił nieuniknione zmiany i przesunięcia, dostatecznie ścisły, aby ustalił zasadnicze linie kierunkowe odbudowy polskiej książki. Plan ten ułoży musi w oparciu o ministerstwo oświaty szeroka komisja fachowców, która niech nazwie się Radą Książki. Niech w skład jej wejdą obok wydawców przedstawiciele spółdzielni czytelników, nauczycielstwa, profesorów szkół wyższych i literatów. Plan ten powinien objąć całość zagadnień książki polskiej, ale nie wszystkie musi traktować jednako. W zakresie literatury współczesnej ko-

nieczna jest większa swoboda, a pomyłki są znacznie mniej groźne. W dziedzinie wznovień literackich istnieją natomiast dostatecznie ścisłe i obiektywne kryteria, aby plan wydawniczy ustalić mógł nie tylko zasadnicze rodzaje wydawnictw, ale również i hierarchię ważności, która by decydowała o kolejności ukazywania się poszczególnych tomów.

Nie wolno nam w obecnej chwili marnotrawić ani papieru, ani pracy. Zróznicowanie typów książki odbywać się musi pod kątem widzenia potrzeb czytelnika i wysokości nakładu. Sądzę, że za podstawę w dyskusji należałoby przyjąć ograniczenie podziału wydawnictw w zakresie wznovień literackich do pięciu zasadniczych typów.

#### PIĘĆ TYPÓW WYDAWNICTW

Typ pierwszy tworzyłoby broszury o charakterze zbliżonym do „Biblioteki Uniwersytetu Ludowych”, wydawanej przez Gebethnera i Wolffa. Byłyby to teksty polskich klasyków ściśle dostosowane do programów i służące jako zasadnicza lektura szkolna i pozaszkolna dla szkoły powszechnej. Tekst powinien być ograniczony do najprostszego komentarza. Powinny to być książki możliwie jak najtańsze i wychodzić w masowych nakładach. Jest to w tej chwili niewątpliwie najbardziej potrzebny rodzaj wydawnictwa.

Typ drugi odpowiadałby bez większych zmian wydawanej przez Ossolineum „Bibliotece Narodowej”. Przeznaczony byłby dla pracowników naukowych, młodzieży uniwersyteckiej i licealnej. Każda tom zawierałby wstęp naukowy, tekst i bibliografię. Należałoby dążyć do ustalenia jednolitego charakteru wstępu, ponieważ obok opracowań niejednokrotnie pionierskich, zdarzały się komentarze nie przynoszące absolutnie nic nowego. Może byłoby wskazane usunąć przypisy u dołustron; ułatwiłoby to bardzo czytelność książki i znacznie obniżyłoby koszt. W obecnej chwili nie byłoby to typ wydawnictwa najpilniejszy, zwłaszcza że wiele tomów „Biblioteki Narodowej” istnieje nadal w handlu księgarskim.

Do typu trzeciego należałoby t. zw. zbiorowe wydania w rodzaju „Biblioteki Arcydzieł Literatury”, albo też prowadzonej przez Gebethnera serii „Pod znakiem Akademii Literatury”. Poza nowym, możliwie pełnym wydaniem Orzeszkowej, które już dziś jest na pewno bardzo potrzebne, ten typ wydawnictwa zostać może oddłożony na później.

Czwarty typ wydawnictwa ma obecnie charakter zupełnie teoretyczny i niemal jest pobożnym życzeniem. Byłoby nim krytyczne wydanie największych polskich pisarzy. Jest niesłychanym skandalem naukowym, że nie mieliśmy w Polsce krytycznego, pełnego wydania nawet dzieł Mickiewicza czy Stowackiego. Krytyczne wydania przynoszą ostateczne ustalenie tekstu, zawierać powinny wszystkie znane warianty, całą korespondencję pisarza, a nawet sądy współczesnych. Francuzi mają nawet opracowane słowniki składowe i leksyki wszystkich wielkich klasyków. Również wzorem mogłoby być pełne wydanie Puszkina. U nas sejmowe wydanie Mickiewicza utknęło w połowie. Krytyczne wydania wymagają długich lat pracy i całego sztabu pracowników, ale jeżeli chcemy, choćby za pięć lat mieć wreszcie Mickiewicza krytycznie wydane, musimy o tym od razu pomyśleć. Inaczej takie wydanie nigdy nie dojdzie do skutku.

Piąty wreszcie typ książki tworzyć powinien zasadniczy trzon bibliotek ludowych, szkolnych i spółdzielczych, żelazną podstawę każdego księgozbioru. Byłoby to rodzaj wydawnictwa zupełnie u nas nieznanego. Każdy tom obok utworu zawierałby wstęp, napisany przez dobrego współczesnego pisarza. Wstęp nie naukowy, ale historyczno-literacki, który by ukazał mosty wiążące utwór klasyka ze współczesnością, zaktualizował go, odsłonił to, co w nim jest żywe, prężne, nowe, co jeszcze ciągle jest zdolne rewolucjonizować myśli. Gdybyśmy dla tej naszej biblioteki, nazwijmy ją Powszechną, szukać chcieli wzorów, najbliższy znajdziemy w „Bibliotece Boya” z tą różnicą, że nasza biblioteka obejmowałaby klasyków wszystkich języków, ze specjalnym jedynie uwzględnieniem literatury polskiej. Na tej bibliotece, a nie na literaturze współczesnej, wychowywać się będzie nowa, młoda



Piechota polska w ataku na „wał pomorski“

inteligencja z warstw ludowych. I nie obawiamy się ksiązek zbyt trudnych. Wielokrotnie doświadczenie powinno nas było nauczyć, że jakiegokolwiek przeróbki, streszczenia, dostosowywania i kastracji, że tworzona sztucznie literatura „dla ludu” nigdy jeszcze nie wychowała żadnej warstwy twórczej kulturalnie. Nowa polska inteligencja musi przejąć całość dziedzictwa kulturalnego, musi — pod groźbą niedorozwoju i karłowatości.

Wybór ksiązek powinien być nowy i twórczy. Przejęcie dziedzictwa kulturalnego nie jest nigdy objęciem wielkiej rupieciarni czy lamusa, gdzie złożone są wszystkie książki, jakie kiedykolwiek zostały napisane, nie jest nigdy przygotowaniem się do egzaminu z historii literatury. Tworzenie nowej kultury jest zawsze dokonywaniem wyboru, selekcją i osadzeniem przeszłości. Wybór mistrzów, wybór genealogii określa nie tylko pisarzy i jednostki, określa całe epoki.

I jeszcze jedno: książki, które przeznaczamy do naszej biblioteki, mogą być trudne, ale muszą być czytelne, nie wolno nam włączać do niej dostojnych, ale martwych pozycji. W przeciwnym razie czytelnik sięgnie tak jak dawniej po Dell, Marczyńskiego lub Dekobrę. Projektowana biblioteka zawierać powinna nie tylko literaturę piękną, muszą w niej znaleźć miejsce przynajmniej niektóre książki ważne w rozwoju myśli, które zaważyły głęboko na tworzeniu się świadomości kulturalnej swojej epoki. Wreszcie biblioteka taka jak nasza liczyć powinna w swoim składzie dzieła historyczne, klasyczne lub współczesne, ujmujące w jedną całość problematykę wielkich epok kultury.

### STO PIERWSZYCH KSIĄZEK

Ułożenie listy stu pierwszych ksiązek, jakie powinny znaleźć się w tej bibliotece klasyków — oto jedno z najbardziej pasjonujących zagadnień, jakie stoją dziś przed pisarzem, publicystą, działaczem ludowym, czy politykiem. Możliwe, że książki te będą mogły ukazać się dopiero po roku, dwóch czy nawet pięciu latach. Ale jeżeli biblioteka taka spełnić ma swoje zadanie, katalog musi zostać złożony z góry, musi zostać przemyślany i przedyskutowany. Przedyskutowany publicznie.

Stąd lista stu ksiązek, jaką podajemy, nie ma i nie może mieć charakteru ostatecznego. Pełno w niej wahań, wątpliwości, a nawet pustych miejsc, które czekają na uzupełnienie. Jedynym celem jest postawienie zagadnienia i obudzenie dyskusji.

Z literatury starożytnej „Iliada” i „Odyssea” pozycjami niewątpliwymi. Obok nich konieczna jest przynajmniej jedna komedia Arystofanesa „Ptaki” i Sofoklesa tragedia „Edyp”. Wybór Platona, a raczej wybór z dzieł Platona budzi już we mnie pewne zastrzeżenia; po namyśle wybrałbym „Obronę Sokratesa”, wśród wszystkich dialogów najbardziej może waży społecznie, najbardziej może dzisiaj aktualny. Z poetów rzymskich nie dałbym nikogo, wszyscy w tłumaczeniach nie dają się czytać. Z historyków wybrałbym jedynie „Roczniki” Tacyta, i to nie tylko ze względu na piękny przekład prof. Hammera, ale przede wszystkim ze względu na zdumiewającą współczesność tego tragika czasu dyktatur wojskowych i pierwszego wzięcia się imperium rzymskiego. Dalej wymienię dwie książki, bez których nie wyobrażam sobie biblioteki, jedna z nich to „Biblia”, choćby nawet w wyborze, a druga „Bajki z tysiąca i jednej nocy”.

Z literatury średniowiecznej dałbym koniecznie „Pieśń o Rolandzie”, „Tristana i Izoldę”, oraz „Słowo o pułku Igora”, trzy tak różne, ale wzajemnie się dopełniające obrazy kultury rycerskiej. Nie jestem pewny, czy nie powinny znaleźć się w bibliotece „Wyznania” św. Augustyna, książka, która stworzyła ważny gatunek literacki, która daje jeden z najwspanialszych obrazów intelektualnego i moralnego rozwoju jednostki. Byłbym natomiast przeciwny umieszczeniu „Boskiej komedii”. Dla niewtajemniczonych w mistykę, filozofię i symbolikę średniowiecza, Dante jest martwym poetą. Ważne byłoby natomiast wydanie wyboru polskich „Kronik średniowiecznych”, z dodaniem nawet wiadomości o Polsce w kronikach czeskich lub aktach niemieckich. Konieczna byłaby wreszcie książka o średniowiecznej kulturze, nie znam niestety takiej, może należałoby dać Ptaśnika, a może przetłumaczyć któryś z tomów Micheleta.

Z okresu renesansu wybrałbym „Księcia” Machiavellego, pierwszy podręcznik praktycznej polityki, a dalej „Dekameron” Boccaccia i wielką książkę o pełni życia Rabelais’go „Gargantua i Pantagruel”. Muszą się tutaj także znaleźć, choćby w wyborze „Próby” Montaigne’a, książka, która uczy myśleć, wątpić i nie rezygnować z myślenia. Jako zasadnicze dzieło historyczne o renesansie, dałbym „Kulturę Odrodzenia we Włoszech” Burckhardta. Książka jest może przestarzała i niebezpieczna przez apologię bujności życia, ale jeden tylko Burckhardt uczy widzieć ten sam gest renesansowy w literaturze i w charakterach, w kościołach i w obyczajach, polityce i obrazach.

Z polskiej literatury oczywiście Kochanowski, przynajmniej „Pieśni”, „Treny” i „Fraszki”. Następnie z pogranicza XVI i XVII wieku wybór komedii rybałtowskiej i mieszczańskiej; z materiałów opracowanych przez Badeckiego powstaną co najmniej dwa świetne tomy. Bujna, żywa, agitacyjna i namiętą poezja

szlacheckiego baroku ciągle czeka na dokonanie wyboru. Kto odnajdzie kilkanaście arcydzieł w dwu grubych tomach, wydanego przez Brücknera „Wirydarza poetyckiego”? „Pamiętniki Paska” dopełniłyby obrazu polskiej literatury siedemnastowiecznej.

Do największego wieku literatury francuskiej wprowadziłaby „Rozprawa o metodzie” Kartezjusza. Obok niej stałaby na półce bibliotecznej ważna książka moralisty, ucząca metodą geometryczną ściśle, jasno i precyzyjnie rozprawić o naturze człowieka: „Charaktery” La Bruyere’a. Następnie „Fedre” Racine’a i oczywiście koniecznie „Bajki” Lafontaine’a. Z Pascala, gdyby były tłumaczone dałbym „Prowincjalki”, obraz jezuityzmu i wóz publicystyki. Natomiast „Myśli” Pascala nigdy bym do tej biblioteki nie włączył. Następne miejsce zajęliby trzej autorzy: Szekspir, Moliere i Cervantes. Gruby tom komedii Moliere’a, Szekspir w nowych tłumaczeniach, „Don Kichot” w pełnym, bez skrótów przekładzie. Zamykałaby wiek XVII jedna z najważniejszych ksiązek literatury światowej, powieść o potęgę człowieka — „Robinson Kruzo” Daniela Defoe.

Francuska powieść osiemnastego wieku pokazywałaby kolejne etapy rozwoju realizacyjnej prozy. Książką konieczną byłoby „O duchu praw” Montesquieu. Potem szyby po-

ZOFIA NAŁKOWSKA

## WĘZŁY ŻYCIA\*)

— Nie, nie wiem, o czym mówisz, — powiedziała Agata.

— Bo teraz jest już gorzej ze mną pod tym względem, niż dotąd, — ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa.

Stali tu w tej rozjarzonej sali, w samym ognisku luminescencji. Ludzie wokół nich przesuwały się, chrzęszcząc, chrobocząc i szleszcząc, jak świetnie uskrzydłone owady, jak upierzone wspaniałe zjawy ptaków. Wśród nich ujrzała Agata swego męża, rozmawiającego z Aramowiczem. Nowa przykrość skrzyżowała się z uczuciem goryczy, zalewającym jej serce. Pomyślała, że Roman podobny jest do kraski — cały drobny, szarobłękitny i świejący. Aramowicz wyglądał, jak duże, czarne, ciężkie zwierzę workowate.

Oxeński roześmiał się nagle żywo, jakby był młody.

— Agato, — rzekł prosząco, — nie miej mi za złe, droga. Ja czasami taki teraz jestem, że sam już nie wiem doprawdy, co mówię.

No tak. To o nim myślała kiedyś, że największym urokiem świata jest urok drugiego człowieka. Co się z tego zostało, o Boże.

— Więc powiedz, co ci jest? — zapytała. Ale na to już nie odpowiedział. Milczał przez chwilę, uważnie się namyślając.

— I powiedz Sonce, jeżeliś łaskawa, że jej to zrobisz.

Zatrzymała się przy nich Katarzyna, która nadciągnęła wreszcie w otoczeniu tych mężczyzn. Działwa spierał się o coś z pułkownikiem Cienkiem.

— Tylko już nie o polityce, zaklinam! — głośno mówiła Katarzyna.

— O, już jest moja Puma, — rzekł odwracając się ku niej Oxeński.

Teraz podszedł do nich z Wysokolskim minister Aramowicz. Edmund zacerwieńił się, gdy go witał. Agacie wydało się, że zbladła.

— Bo zaraz odchodzę, — groziła Katarzyna. — Ty, Antku i tuncjono, i minister, i profesor, byłibyście uroczyli ludźmi, ale wciąż macie głowy nabite polityką. A ja nie chcę już słyszeć ani słowa w wymiarach europejskich, sprzedam!

Mówiąca ani przez chwilę nie pozostawała w spokoju. Była cienka w pasie, i gięła się, poruszając biodrami, jak cyganka. Za każdym ruchem twarde, czarne fałdy jej spódnicy przesyływały się wokół niej, wydając chrzęst, jakby były z blachy.

— Daj spokój, Kasiu, — powiedział Oxeński. — Profesor mówi przecież nie o polityce, tylko o historii.

— No właśnie! Jak czytam książkę historyczną, to zawsze się dowiem czegoś nieprzyjemnego.

Działwa zwrócił ku niej swą wielką, brunatną twarz.

— Pani ma słuszność, drogie dziecko. Kto wie, czy historia nie jest dla dzieci niedobrą zabawą.

Katarzyna uradowana roześmiała się do niego.

— Naprawdę pan tak myśli?

Dla Agaty do dziś było rzeczą zadziwiającą, że Kasia za pomocą ust tak małych mogła osiągnąć uśmiech tak doskonały, tak pełen mądrostwa zębów, tak ociekający wilgotną słodyczą.

— Na mnie, panie profesorze, w ogóle przeszłość robi okropne wrażenie. Straszna rzecz wyda mi się żyć dawno. Nie dlatego, że to było dzikie, czy staromodne, czy barbarzyńskie. Tylko dlatego, że tego teraz nie ma. Ja w to nie wierzę. Przeszłość jest dla mnie czymś niewiarogodnym, czymś komicznym, działa na mnie, jak mistyfikacja. Dawne portrety kobiet, ich ubrania, uczesanie Marii Antoniny, suknia Saskii, toga na człowieku tak inteligentnym, jak Marek Aureliusz — to jest dla mnie przerażające. Ja z tego widzę, że świat tak mija, że robi się nierzeczywisty.

\*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15 i 16 „Odrodzenia”.

wiaistki filozoficzne Woltera, a więc przede wszystkim „Kandyd” i „Prostaczek”. Diderot, naprzemian namięty, sarkastyczny i uczuciowy, jeden z owych gwałtowników sprawiedliwości, byłby na pewno jednym z najlepszych wychowawców młodego pokolenia inteligencji. Obok „Kuzynka mistrza Rameau” powinien ukazać się „Kubuś fatalista”. „Wyznania” Rousseau zniechęciłyby może czytelników do szukania odkryć psychologicznych w litych autobiografiach współczesnych.

Z literatury angielskiej ukazać się powinny przede wszystkim „Podróże Gulliwer” Swifta. Ale „Podróże Gulliwer” w całości, a nie w li-chej przeróbce i w skrócie, jak to było dotychczas. Jest to odważna i wspaniała satyra polityczna, którą nasi wydawcy przykroili do użytku siedmiolatków.

Duże trudności nastęca polska literatura osiemnastego wieku. Raczej należałoby dokończyć wyborów, niż dawać jakiegokolwiek całości. Powinien wyjść w każdym razie tom satyr i pamfletów Naruszewicza i Krasickiego oraz wybór publicystyki polskich jakobinów z kręgu „Kuźnicy” Kołłątaja. Także zupełnie są niewyżyskane osiemnastowieczne pamiętniki.

Romantyzm europejski reprezentować powinien „Don Juan” Byrona w pięknym i żywym przekładzie Porębowicza, Goethego „Wilhelm Meister” i „Faust”, Schillera „Zbój-

Była krzykliwa, natrętna, coś ją gnało, coś nie dawało jej spokoju. Oglądała się raz po raz na Baraza i Oxeńskiego, którzy teraz po odejściu Aramowicza, stali dalej z Edmudem. Jej sposób bycia widoczną, że nic z przeszłości nie może nas o niczym pouczyć. Może nas tylko do wszystkiego zniechęcić.

Pułkownik Ciencki żywo zaoponował.

— Nie, tego pan na pewno nie mówić poważnie. Cóżby z nas ocalało, gdybyśmy przez cały czas niewoli nie żyli przeszłością. To, czym jesteśmy dziś, zawdzięczamy tylko naszej historii.

— W tym, co pan mówi, jest owszem dużo prawdy. Ale widzi pan, już dawno twierdzono, że historia nie powinna być starą chronologią samolubstwa i pychy. Że powinna być natomiast wiedzą o rozwoju umysłu ludzkiego. Tymczasem po dziś dzień jest ciągle jeszcze dziejami niedorzeczności i szaleństwa. Jest niebezpiecznym składem rupieci, którym współczesność z każdą generacją zatrzuwa się od nowa. O historii powinno się mówić szepcąc, nie — historia powinna być przemilczana, jak skandal w rodzinie. Powinna być zapomniana i zamknięta. Dostępna co najwyżej paru nieszkodliwym sklerotykom, jako przedmiot studiów, przedmiot niebezpiecznych doświadczeń laboratoryjnych. I to w całkowitej izolacji, z ostrożnością, która obowiązuje przy doświadczeniach nad kulturami złośliwych bakterii.

Ciencki się oburzył.

— Co też pan znowu, pan przecież tego nie myśli co pan mówi. Pan tego nie może myśleć jako Polak.

— No cóż, przeszłość pouca nas podobno, że Polacy nie umieli się rządzić. Prawda? A proszę pana, kto wie dzisiaj, jak trzeba się rządzić? O to, jak się rządzić do dziś dnia skacze się sobie do oczu, do dziś dnia ścina się głowy i przelewa całe stągwie krwi...

— Proszę pana, jeżeli będziemy tak stawiali kwestię...

— O czym jeszcze pouca nas przeszłość? Ja na przykład nie wiem jako Polak, czy mam doznawać chluby z tytułu, że Germanie więcej od nas wykazali impetu w ucieczce przed Hunami i dalej, niż my, zapuścili się na zachód, czy raczej mam zgłosić pretensję do obszarów nadkaspjskich, które zajmowaliśmy na długo przed ich dzisiejszymi mieszkańcami... Nie wiem, czy mam się szczeni, że w czasach, gdy na zachodzie Europy trwał wielowiekowy spór między realistami i nominalistami o istotę tak zwanego powszechnika, nasi przodkowie skakali przez ogień sobótkowe, w ten sposób zaznaczając swoją postawę wobec problemów ontologicznych. Ze gdy inne narody wznosiły katedry i bazyliki, my wykazywaliśmy się kurną chatą, barcią, sochą, turami i łosiami... Niech pan pomyśli o państwach, które jarzyły dziesiątki ludów i zagarniały pod swe panowanie kontynenty, trwały tysiąclata i zostawiły ogromne kultury. A tutaj lasy, bagna, Obotrzy, Lechici, polowanie, rybołówstwo, niedźwiedzie — nie, dziękuję! Czym ja się mam tu pokrzepić? To są rzeczy wstydlive, panie pułkowniku, tu da się zalecić tylko skromność. Przeszłość nie daje tytułów do chluby. Nie tylko nam zresztą, bądźmy sprawiedliwi. Narody bardziej od nas pyszne, które zamierały z bawiać świat na długo przed nami, mają jeszcze nierównie więcej rzeczy żenujących w swoich dziejach. I co z tego wynika? Dośćownie nic.

— Ciąg dalszy w następnym numerze.

cy” i koniecznie „Opowieści” A. E. T. Hoffmana. „Eugeniusz Oniegin” Puszkina w tłumaczeniu Belmonta jest niestety przykry do czytania, natomiast wyjść powinna „Lutnia Puszkina”, rozszerzona o nowe przekłady i „Jeździec miedziany”. Obok „Dziadów” i „Pana Tadeusza” musi się ukazać wybór publicystyki Mickiewicza z „Trybuny Ludów”. Ze Słowackiego dałbym wybór wierszy opracowany przez jakiegoś rasowego poetę, utwory dramatyczne i „Listy do matki”; z Krasieńskiego „Nieboską komedię” i przede wszystkim duży wybór „Listów”, które są jednym z najciekawszych dokumentów obyczajowych epoki. Wreszcie potrzebny jest trzeci i mądry wybór wierszy, prozy i listów Norwida.

Wiek dziewiętnasty rozpoczyna panowanie powieści. Z wielkiej powieści realistycznej należy przede wszystkim wydać Balzaka, jest on najostrzejszym nauczycielem surowej prawdy społecznego życia. Wybrałbym cykl „Straconych złudzeń”, następnie „Ojca Goriot” i „Biednych krewnych”. Stendhala powinny wyjść koniecznie „Czerwone i czarne” oraz „Pustelnia Parmeńska”. Wydać należy w nowym przekładzie „Panią Bovary” Flauberta a przede wszystkim jego „Szkolę serca”, powieść o pokoleniu, które przegrało rewolucję. Z Dickensa — Odyseję w dylizansie czyli „Klub Pikwicki” i niestarzejącego się nigdy „Dawida Cooperfielda”. Z wielkiej powieści rosyjskiej — Tolstoją „Wojnę i pokój”, książkę, która nas nie odstępować przez ostatnie lata; Gogola „Martwe dusze”; Dostojewskiego „Wspomnienia z martwego domu”.

Wydanie polskiej powieści pierwszej połowy XIX wieku jest niemal pracą pionierską. Nie wiem, czy to przypisać nieudolności, czy po prostu ignorancji wydawców, ale znaczna część wczesnych polskich powieści i to najbardziej żywych, ciekawych i mocnych, nie została udostępniiona czytelnikowi. Sto lat temu został ostatni raz wydany „Alkadar” Chojeckiego, realizacyjna, prawdziwie balzakowska powieść z życia szlachty i mieszczaństwa w Galicji po trzecim rozbiore. Jest to niewątpliwie najlepsza polska powieść do czasu „Lalki” Prusa. Prawie zupełnie nieznany pozostał „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego. Jest to powieść niesłychanie inteligentna, zabawna i dowcipna, łącząca elementy wolterowskiej powiastki filozoficznej z powieścią przygód i romantycznej upiorności. Wydać należy koniecznie „Listopad” Rzewuskiego, pierwsze powieści Kraszewskiego, nieporównanie lepsze od późniejszych i Mochnackiego „Historię powstania”. Wydać należy przede wszystkim Fredrę i to nie tylko „Komedie”, ale i świetny pamiętnik „Trzy po trzy”.

Literature pozytywistyczną i naturalistyczną poprzedzać musi wydanie dzieł, które uformowały oblicze duchowe drugiej połowy XIX wieku. Biblioteka nasza zawierać powinna książkę Darwina „O pochodzeniu człowieka” i wybór Spencera. Również powinna się na naszej liście znaleźć trylogia historyczna Marksa, w której skład wchodzi „Osiemnaście brumaire Ludwika Napoleona”, „Wojna domowa w Niemczech” i „Komuna paryska”. Są to może najpiękniejsze książki Marksa, pełne dowcipu, sarkazmu, ostrości, książki, które uczą rozumieć historię.

Z literatury francuskiej od Flauberta aż do wybuchu wojny niewiele jest ksiązek, którym by się należało miejsce w naszej bibliotece klasyków. Należałoby wydać powieść Zoli, ale nie wiem doprawdy którą. Łatwiejsze byłoby dokonanie wyboru nowel Maupassanta. „Jan Krzysztof” Romaina Rolanda ma wszelkie dane, aby stać się książką dla młodzi. Z literatury współczesnej wznówiłbym jedynie „Thibaultów” Roger Martin du Garda, oraz „Nadzieję” Malraux. W literaturze niemieckiej nie znajdujemy chyba nic poza „Bud-denbrookami” Tomasza Manna. Z literatury angielskiej wydałbym dwa utwory Conrada: „Zwierciadło morza” i „Murzyn z załogi Narcyza” oraz „Krótką historię świata” Wellsa. Z literatury skandynawskich, które w tym okresie zaczęły górować nie chcę ani Strindberga, ani Ibsena, ani Hamsuna. Wybiore jedyne „Baśnie” Andersena. Z literatury rosyjskiej „Moje uniwersytety” Gorkiego, wybór wierszy Majakowskiego i „Cichy Don” Szolochowa.

Jest to natomiast okres wielkiego rozrostu naszej literatury, okres prozy. Pierwsze miejsce przypadnie teraz twórczości Prusa. Wznowić musimy „Lalkę” i „Placówkę”, dokończyć wybór „Opowiadań”, a prawdopodobnie niezmiernie cenny byłby i wybór „Kronik tygodniowych”. W bibliotece klasyków znaleźć się muszą conajmniej trzy powieści Orzeszkowej: „Cham”, „Meir Ezofowicz” i „Nad Niemnem”. Konieczny jest tom nowel Konopnickiej i drugi tom, który by zawierał wybór jej wierszy. Z Sienkiewicza wznówiłbym „Szkielet węglem”, „Krzyżaków” i mimo wszystko jednak „Trylogię”. Wejść oczywiście w skład naszej biblioteki Reymonta „Chłopi” i Wyspiańskiego „Wesele”. Z Żeromskiego natomiast jedynie „Syzyfowe prace” i „Przedwiośnie”. Potrzebne jest wznowienie „W Roztokach” Orkana. Z literatury dwudziestolecia wybrałbym do pierwszych stu tomów naszej biblioteki jedynie trzy książki: „Noce i dnie” Dąbrowskiej, „Kordian i cham” Kruczkowskiego oraz antologię poezji od Staffa do Przybosa. Wolno nam jeszcze wymienić dwie książki. Niech więc listę stu pierwszych tomów wznowie literackich zamknie „Historia chłopów” Świętochowskiego i „Historia kultury polskiej” Brücknera.

JAN WIKTOR

# Z pamiętnika

27. V. 1944

Spotykam na ulicy znajomą zapłakaną.  
— Co się stało? — pytam. — Czy nie-  
szczęście?

— Ach, potworność — nie może dokończyć,  
co chwila zachłystując się słowami we  
łzach. — Com przeżyła dzisiaj... Wciąż  
w oczach mam śmierć, w uszach łoskot strza-  
łów, a tu, a tu, rany krwawiące jakby od kul.

— Niechże się pani uspokoi — ująłem ją  
za ramię. — Co panią spotkało? Proszę opo-  
wiedzieć.

Dzisiaj, na zbiegu Lubicz i Botanicznej,  
za dwóch Niemców, wczoraj zabitych, zamor-  
dowano czterdziestu Polaków, przywiezio-  
nych z Montelupich. Po egzekucji pozwolili  
patrzeć. Poszłam razem z innymi, aby wido-  
kiem tym większą nienawiść w sobie po-  
budzić. Nie można się było zatrzymać, bo  
mundurowcy wrzaskiem i groźbą kolb prze-  
ganiali. Com zobaczyła, tego nigdy nie za-  
pomnę. Sterta ciał w kałuży, na klęczkach,  
w łachmanach, twarzą do ziemi, z rękami  
z tyłu związanymi drutem kolczastym. Wsze-  
regach, pokosami. O Jezu! O Jezu! Przywieźli  
ich z wzięcia, z celi śmierci, na ciężarowym  
aucie. Zrzucili ich, zepchnęli i kazali się usta-  
wiać. Pierwsi zaczęli śpiewać i okrzyki wno-  
sić. Wciąż innym usta zakneblowali masą pa-  
pierową. Na kolana! Salwa oddana z tyłu.  
Później oficer pochylał się i do drgających  
jeszcze ciał pojedynczo strzelał. Inni patrzyli.  
Następny szereg. I tak do ostatniego. Ciała  
leżały na chodniku. Wreszcie zajechało auto  
wysypane trocinami. Więźniowie przenieśli  
zwłoki. Kałuże piaskiem zasypali.

...na tym miejscu z trotuaru wyblęły  
świeczki, zakwitły wieńce. Znieruchomiał  
postacie staruszek, zmienionych w modlitwie,  
zdawało się, że to nagrobki z niedalekiego  
cmentarza przywlokły się tutaj, ożyły i ka-  
mienne ramiona dźwigają do czoła, aby na-  
kreślić znak krzyża, kamienne wargi drgają  
od cichego pacierza i próśb o światłość wie-  
kuista, a oczy kamienne rozbłyskują i palą  
się zemstą.

— Kolbami w te postaci. Zatluc modlitwy,  
zadepnąć kwiaty, zmiażdżyć zastygłą czer-  
wień, która wsiąkała w płyty betonowe.

...za dwóch — czterdziestu — ktoś gniew-  
nie wybuchł.

— Trudno. Ofiary muszą być. Wolności nie  
uzyskuje się za darmo. Trzeba ją wypracować  
w ofiarnym trudzie, w bohaterskich  
zmaganiach. My spadkobiercy nakazów po-  
wstańczych, my...

— I tym podobne kolendziółki na rozde-  
tych dudach narodowej chwały i męczeń-  
stwa. Czyż podobne ofiary mogą zaważyć na  
naszych dziejach? Sprawiają ból odbierający.

— Budzą nienawiść i chęć odwetu.  
— Albo przekleństwo. Gdybyś stracił tam,  
na ulicy Botanicznej w jej pierś siebie tknęła,  
to by twoja mowa była inna.

— Moja mowa jest zawsze jednaka, twar-  
da, nie znosząca pogodzenia się z losem, moja  
mowa chce mieć w sobie tysiące kul, a każda,  
aby biła w łeb wroga. Targam nałożone  
więzy i w garść chwytam bagnę, aby go uto-  
pić w pierś znieznawidzonej. Zamiast serca  
chcę nosić granat. Jak się ma społeczeństwo  
zachować? Poddać kark pod jarzmo? Nie  
śmiesz odpowiedzieć? Oburzasz się na ostatni  
wypadek. Tak należało postąpić. To nasz na-  
kaz. Ulicą idą dwaj młodzi z podziemnej  
organizacji — tak sobie wyobrażam ostatnie  
zajście — zaczepiają ich dwaj umunduro-  
wani i pytają o dowody osobiste, a ci za-  
splanują i trach. To jedyna godna bojowca  
odpowiedź. Mieli się oddać w ręce zbirów  
jak barany?

— Ale wolno skazywać na śmierć czter-  
dziestu niewinnych? wolno skazywać czter-  
dzięci rodzin na boleść i rozpacz? wolno  
skazywać miasto na uwięzienie, na tortury  
moralne? wolno grozić rzucać i przerażenie  
budzić? Kto kieruje tymi ślepyimi kulami?  
Czy mądrość polityczna, czy lekkomyślność  
młodych? Kto bierze odpowiedzialność za

owe zabójstwa? Jaki ich sens? Pytam da-  
remnie drzew mijanych, kamieniec głuchych,  
bo wiem, że one mnie nie zdradzą.

— ...Zamilcz... bo... — wykonał ruch  
gwałtowny ku tylnej kieszeni.

— Chwytny za broń. Nie wolno głośno  
mówić prawdy, bośmy zmienili kaduceusz  
mający każdą narodową na rewolwer, więc  
gotowy jesteś za te słowa zastrzelić mnie  
jak parszywego psa.

...Uciec z miasta. Zagubić obraz zastrze-  
lonych, krwawiących bruków, w obłokach,  
w błękitach, w szumach zbóż.

W oczach, jak w trumnach, nosiłem sze-  
regi miotających się ciał, w roztraskanej  
czaszce ich kule. Wszystkie ich rany się  
otwierały i wszędzie je widziałem, wszędzie  
czułem, gdzie tylko spozjrzałem, czego dot-  
knąłem.

Podążam w stronę dworca, aby wcześniej  
nabyć bilet do wieczornego pociągu.

Wyloty ulic i plac przed dworcem obsta-  
wione strażami. Zielone mundury. Ciosy  
twarde oczu spod hełmów. Karabiny gotowe  
do strzału, przystawione do piersi i brzucha.  
Macanie ciał w poszukiwaniu broni. Szcze-  
kanie niemieckie gotowe pięścią wybijać zęby.

— Ausweiss...

Drewnianym ruchem sięgam do kieszeni  
po dowód osobisty. Pod czaszką drga myśl,  
jak złodowaciła kropla potu.

— Gdyby się nie spodobała moja twarz,  
wyraz wzroku, gdybym spojrział nieprawo-  
myślnie, to jedno naciśnięcie palcem —  
i... — wszystkie zmysły w naprężeniu.  
Pchnięcie. Ulga. Odchodzę bez tchu, zmar-  
twiały na ciełe i duszy.

Od dzisiaj godzina policyjna siódma. Nie  
wolno wyjść za miasto odetchnąć powie-  
trym. Chcieliby słońce zamknąć za kratą.  
Bezsilni są. Ono jedno wolne. A może niebo  
jest kaźnią?

Stoję przy otwartym oknie wagonu, zdą-  
żającego ku podgórskim, tak umiłowanym  
okolicom.

Spoza domów jeszcze wybiegają owocowe  
drzewa w ostatkach wiosennego kwiecia. Ró-  
żowe wybuchy jabłoni zjawiały się i prze-  
padały poza węglami i strzechami. Grusze  
na miedzach, na wzgórzach, w sadach roz-  
wieszały biel i zaraz ginęły w trzepotliwych  
zastonach liści.

Przed nami rozprzestrzeniała się blade  
zielona toń zboża. Nie wleźć, kiedy zrod-  
zony powiew poruszył wygładzoną po-  
wierzchnię, zagonami zakolysał, zafalował,  
czyniąc wrażenie, że cała równina odchodzi  
stąd, podąża, wspina się po pochyłości  
wzgórz, wnika w błękit widniejącego opodal  
lasu, omija go, dosięga błękitów i zmienia  
się w obłoki. Najradośniejsze wyrazy zrod-  
zone w głębi wzruszonej duszy wybiegały  
na wargi, aby wypowiedzieć podziw i uwiel-  
bienie.

Często wzdrygałem się, bo oczy pełne zie-  
leni i rozkwitów spotykały brzydkie budy,  
rudery, brudne, okopcone i cuchnące sta-  
cyjki, wyskakujące z rozkopanej ziemi, jak  
sterty błota. Pragnąłem spotykać — właśnie  
dzisiaj — samą radość, grędy kwiatów, sły-  
sząc śpiewy ptaków, pragnąłem nasze po-  
stoje nazywać melodiami, pragnąłem obda-  
rzać kogoś zachwytem i komuś bliskiemu  
powierzać tajemnice moich przeżyć i uczuć.  
Byłem szczęśliwy, gdy miałem przed sobą  
wygodzone niebo i bezmiar pól.

Światło przepoilo toń ozimim, zapewne  
słońce majowe pragnęło zostawić swój naj-  
jaśniejszy odblask, aby zboża świeżo wykło-  
szone zapamiętały go do reszty dnia, powie-  
rzyły zmierzchowi, przechowały przez noc  
i jutro oddały zorzy, jej uśmiechom rannym  
objawionym ziemi, wodom i smutnemu czło-  
wiekowi.

Podmuchy podnosiły, zginały, pochylały  
źdźbła, zmieniając zagony w wyobrażenie  
pokłonów składanych niewidzialnym bóstwom,  
może zatajonym gdzieś w przestworzach.

Pola kołysały się i płynęły różowymi fa-  
łami w swoją nieskończoność.



Więzienie w Poznaniu. Przewody wysokiego napięcia

Wtedy zatrząsa się ziemia od łoskotów.  
Chlust ognia. Lokomotywa miotająca dym  
i snopy iskier. Mglenia kół. Bryły wago-  
nów. Długi pociąg chyba się wyrwał z cze-  
łuski czarnych, pomykał, nagle wstrzymał  
pęd, stawał i zastygł na szynach dygotając  
żelaznymi dźwiękami.

— Cóż to? Jaki postój? Bydło na rzeź?  
Towarowy...

Zaciekawione źrenice skakały po wago-  
nach. Gasły. Drętwiały. Wylupić je. Po co  
one? Żar, czy łyż pod powiekami? Co tak  
piecze? Co tak chluscze? Wołanie szamo-  
tające się w piersiach.

— Kto wy? Dokąd? Po co? Ludzie! Lu-  
dzie! — pięścią włączam ten krzyk. Za-  
deptać go jak najgłębiej.

Wozy osobowe. Widać małe stoliczki za-  
łożone flaszkami, przekąskami. Uczta. Śpiew  
sentymalny, łzawy, jakby w wieczór ma-  
jowy zapożyczony od słowików. Obok straż  
w pełnym uzbrojeniu. Bagnety rozbłysku-  
jące. Granaty groźnie nabrzmiałe za pasem.  
Budki z karabinami maszynowymi. Znow  
wozy bydłowe oznaczone cyframi nakreślony-  
mi kredą 70 — 72 — 80 —

— Co to jest?

— Zbrodniarze!

W małych otworach zakratowanych kol-  
czastym drutem — majaki ludzkich twarzy,  
zarośniętych, brudnych. Oczy obtępane, osle-  
pione, tylko spieczone wargi żyją i drżą bez-  
silnym, niemym, a tak krzyczącym słowem —  
Wasser — Wasser. — Nie słyszysz, ale widzę,  
ale czuję, bo mnie piecze i pali.

Z jednego okienka wychyliło się ramię,  
jakby oplecione wieńcem z żelaznych cierni,  
zaciśnięte kurczowo kubek.

W drugim młoda matka trzymała nie-  
mowlę i wzrokiem wołała o litość dla niego,  
ukazywała jego usteczka zmienione w strup  
i chciała powiedzieć:

— Ginie.

A maleństwo poruszyło rączką, z trudem  
ją dźwignęło, powoli, powoli posuwało aż do  
brody i dalej, dosięgło warg paluszkami  
i znieruchomiało, jakby z wysiłku i pragnie-  
nia skołało.

Wtedy matka, wbrew wszelkim zakazom —  
wyjęczała: Wasser — Wasser.

Ktoś ze stojących między torami porwał  
się z miejsca. Do studni. Strumień wody.  
Wraca ze szklanką.

— Już... już...

Oczy uwieczonych wybiegają ku temu da-  
rowi, uśmiechają się w uniesieniu, w mo-  
dlitwach.

— Stać! Stać! — strzelają! — urzędnik  
kolejowy w przerażeniu wrzasnął po polsku.

Wyciągnięte ramię, gotowe do ludzkiej po-  
sługi, opadło jakby przestraszona. Strumień  
wody chlusnął, rozbłysł w powietrzu.

Skowyt zduszony w zeszcłej gardzieli.  
Spojrzenia wszystkich przypadły do tej wil-  
gotnej plamy i piją ją. Ach, żeby przyłożyć  
język...

Już wrzask niemiecki. Trzask broni. Wy-  
mierzone lufy i bagnety.

Szereg ludzi powoli się cofał, jakby wy-  
dzierał z kamienistej gleby nie stopy, ale  
zarzenie wrosłe głęboko. Wreszcie znieruch-  
omiał, jakby pod niewidzialnym murem  
czekając na salwę. Po zbiałych ustach słał  
się szepc, drgał, zmieniony chyba w kroplisty  
pot, spływający z czoła męczennika.

W otworach straszliwego pociągu widzie-  
liśmy wciąż trupie twarze młodych męż-  
czyzn, kobiet, chłopców, dziewcząt. W oczach  
zastygła rozpacz skazanych na śmierć. Tylko  
wargi żyjące po skonanym w udrękach, pa-  
miętające jeden wyraz: Wasser — Wasser.

Skądś, może ze ściany pękniętej od gwał-  
townego uderzenia wybroczył szepc:

— To Żydzi — z Węgier.

Więści strwożone przelatują od ławki do  
ławki, krzyżują się, przepadają.

...dziennie przechodziły tędy dziesięć po-  
ciągów i więcej, złożonych z 60 do 70 wa-  
gonów; w każdym ścisł, bo wgnieciono 80  
do 90 ludzi.

...podobno do granicy przyjeżdżają  
we wspaniałych pulmanach, a tutaj wpę-  
dzają ich do bydłowych, zaślanych grubą  
warstwą niegaszonego wapna, od którego od-  
padają kawały ciała...

...codziennie widzę te pociągi śmierci.  
Nieraz trzeba uszy zatykać, bo rozlegają się

tak rozdzierające krzyki bitych, skowity  
spragnionych. Nie wolno zbliżyć się, podać  
szklanki wody, bo odpędzają kolbami, bo  
kulakami łamią szczęki. Ach kiedy?... —  
zgrzyt zębów i zaciśnięta ukradkiem pięść.

... — gdzież ich wywożą?

... — wiadomo. Do fabryki mydła.

... — w tym mieście nastroj potworny  
w ostatnich czasach. Otumanieni, oczadziali  
ludzie chodzą jakby po trupiarni pełnej  
zwłok.

... — gdy powieje wiatr od zachodu, to na-  
wet w Trzebieńskich, a więc miejscowości  
odległej o 20 kilometrów, czuć odrażający  
smród. Ludzie się duszą.

Szept tych wieści zmienia się w tchnienie  
bez dźwięku, a przecież nie wystarcza za  
krzyk mordowanych, i za wołanie o pomstę.

Z okien wagonu osobowego wybuchnął  
śpiew. W podniesionych dłoniach rozbłysły  
kieliszki. Pod hełmami zamigotały oczy. Roz-  
legł się rozkazy twardy jak rębniące siekiery.

Drgnął stojący pociąg, ale jeszcze nie ru-  
szył się z miejsca. Nie miał sił. Gwałtowne  
szarpnięcie wyrwało koła z trzaskiem i hur-  
kotem, jakby w odgłosach łamanych gromów  
i stalowych kości. Przeraziły gwizd, to że-  
lazna lokomotywa zaniosła się ludzkim ję-  
kiem.

Łoskoty nabierają pędu, stają się coraz  
pędzse.

— Czy to potworny zwid, stworzony dla  
przerażenia ludzkości po wszystkie wieki!  
rwie ku swemu przeznaczeniu niosąc zagładę?

Przez otwory zakratowane drutem kolcza-  
stym widać poszczególnie twarze, zrazu wy-  
raźnie, tak, że można rozróżnić rysy, kształt  
nosów, barwę źrenic, włosów, zakrój warg,  
później już tylko przebiegają plamy, miotają  
się mgnięcia wizji. Wirowisko, kłębawisko  
ludzi, ramion wyciągniętych, kubków pustych  
daremnie żebrzących, dzieci skomlących,  
ostrupiały. Wciąż jednak słychać szepc,  
wynikający spomiędzy łośkotów: Wasser —

Wasser. Tysiące kół potoczyło się po tym  
błaganu, a nie mogło go zmiażdżyć, bo ono  
zostało w każdej drobnie powietrza, w każ-  
dym okrucu światła.

Kończył się dzień. Słońce dosięgło ziemi,  
oparło się o krawędź wzburzonych zbóż i po-  
woli zanurzało się, aby zapaść w otchłań  
czekających go mroków. Zachód w czerwieni  
jakby olbrzymia łuna nad krematorium. Zem-  
sta dusz zgorzałych. Czyżby całe niebo było  
krematorium?

Ów pociąg dymem spowity, błyskający od-  
blaskami pożarów, śpiesznie podążał w dal,  
walił naprzód chcąc runąć w tarczę słońca  
teraz rozzagwioną i zmieniającą przestworza  
w pożogę z ognia i krwi.

Jeszcze długo widzieliśmy żyjących grobo-  
wicz pełen grozy, cierpień, męki, śmierci, wo-  
łań daremnych, rozpaczliwych, biegnący ku  
swojemu przeznaczeniu...

Zginął.

Zdawało mi się, że ugodził niebo, rozdarł  
je i wpadł w czeluść ogromnego hutniczego  
pieca, który go pochłonił, a z rozmaitych  
płomieni wybuchnął krzyk miliona ludzi  
palonych.

— Auschwitz!

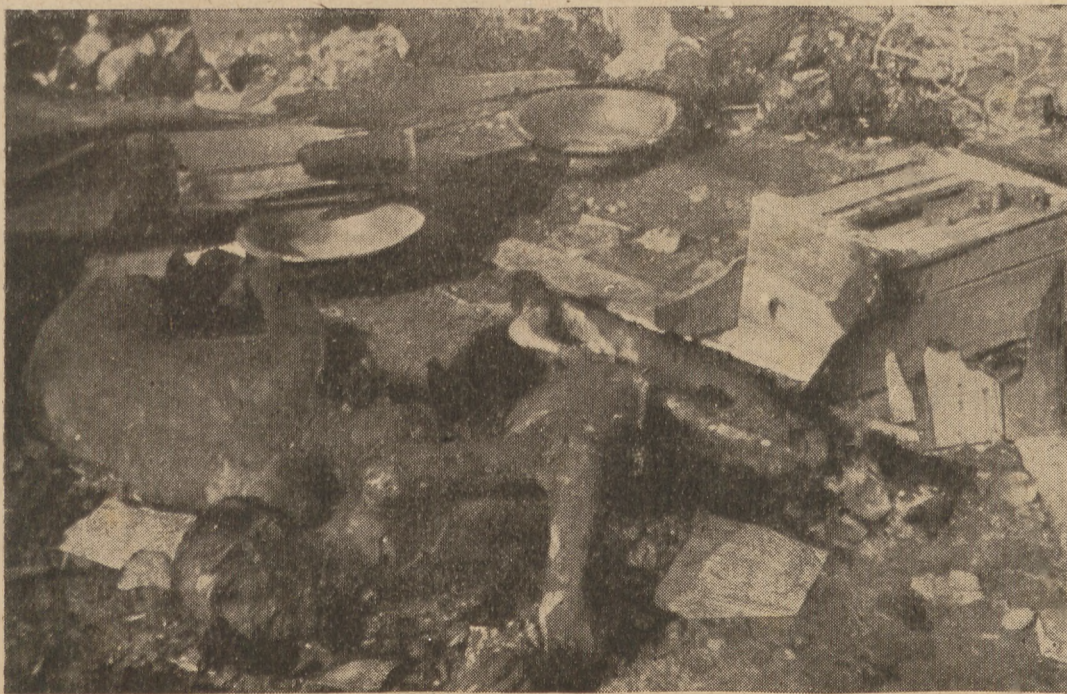
Pola umarły w ciszy...

Ostatni powiew poruszył toń zboża, tak że  
zagony powoli, z trudem, męczennim wysił-  
kiem zafalowały, błyskając, chwając różo-  
wym blaskiem. Czyżby się oblewały teraz  
krwawym potem? Tu i tam wytrysnęły  
źdźbła, pojedyncze kłosa rozżalone, goreją-  
ce, jakby każdy z nich był wyobrażeniem  
promieni zagubionych przez słońce.

Gasły światła. Znikały barwy rozkwitów  
zmywane rosą. Ziemia osypywała się popio-  
łem. Drzewa rozwiewały się w zmierzchu.  
Świat ginał spowijany w całun nocy, skra-  
pianej łzami gwiazd, jakie dzisiaj przestwo-  
rza wyplakały. Tylko z naszej lokomotywy  
wylaływały iskry zmienione w długie pasma,  
biczące powietrze. Może chciały zniweczyć  
ciemności, a może chciały wypalić wspom-  
nienie tamtego pociągu resztkami żaru wy-  
kradzionego zachodowi?

Wśród światła, w chłóście iskier, w mro-  
kach, widzieliśmy rączkę dziecka umarłą na  
ostrupiłych wargach, oczy skazańców, krzy-  
czące w głuchy świat ku wszystkim pokole-  
niom i wiekom:

Oskarżam!



Zwłoki więźniów spalonych przez Niemców w Poznaniu

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

# Dom pod gwiazdami

Gdy w dymach i ogniach warszawski nasz dom obracał się w gruz i w popiół, a my pędzeni wrzaskami „raus!” odchodziliśmy od zgłiszcz pod groźbą natychmiastowej, ohydnej śmierci —

Gdy za kolczastymi drutami w pruszkowskim obozie koncentracyjnym leżeliśmy na zabłoconym betonie między tysiącami ciał udreżonych jak nasze ciała —

Gdy w pachnącej sosnami i wrzosem Leśnej Podkowie ze zwierzęcą zmyślnością wymykaliśmy się obławom myśliwców polujących na ludzi —

Gdy dusiliśmy się w milanowskim pociągu przepelnionym drobnymi dziećmi, które wszystkie miały twarze starców i trwały w przerażającym milczeniu ryb głębinowych —

Gdy odprowadzaliśmy kwarantannę bezradziego żalu w splugawionym Krakowie, jak gdyby rzeczywistość cichaczem od snów pozyczyła dobrodziejstwa: zwidywał nam się na jawie inny nasz dom trwający pod Tatrami.

Warszawskie nasze mieszkanie wypełnione przez lata całe pracą twórczą i radością z pracy, codziennym szczęściem i święteczną troską, znikło z powierzchni gasnącą łuną i rozwinęło się dymem.

Ale skalne ściany Tatr stały czekając na nas w dalekości. Były niezniszczalne. Trwały. Były swoje, skoro na ich wzór i podobieństwo wzniesiliśmy ściany naszego „Domu pod gwiazdami”. Sami projektowaliśmy je, zdobiliśmy, jak wiciokrzewem najgodniejszymi chwilami naszego życia opletli.

Ku nim teraz zdążyliśmy wygnać. One jedne mogły jeszcze utwierdzić mnie w życiu, z którego wróg na rugował za wszelką cenę i na wszelki sposób. W ojczyźnie druga ojczyzna, Podhale, fiołkowe od krokusów, goryczkami szafirowe, czerwone bukami, śniegiem śnieżne...

Podhale, któremu wiosną żabim chórem ogłasza nieznaną na dolinach Matka Boska Żabiczna.

Podhale, gdzie zbójnik nie dla siebie zabija, ale dla „dobrych towarzyszy” i tego popółstwa, co uboższe będąc od piargu, łaknęło rosy dóbr ziemskich nierówno we świetle rozlanej.

Podhale okrutne i skąpe — gdzie, iżby utrzymać się przy życiu trzeba być jako niski, szary, suchy porost kamienny...

Podhale szumne i bujne, gdzie nie można nie być orłem i kozicą razem. Ziemia tu inna, we wirach ukształtowana, wirchami w niebo wspięła. I ludzie inni — na miarę gór.

... Skapstwo — rozrzutność, miłość — nienawiść, pokora — pycha, razem pożenione, — wszystko wyraziście, wszystko jaskrawe.

Cheesz, oddzielaj wątek od osnowy. Cóż ci o stanie w garzci, Panieboże?

Wyżuta ze wszystkich niezbędnych rzeczy codziennego użytku, przywalona zwałami szmuglerskich tobołów, walizek i worków, oparta bezsilnym, bojącym grzbietem o nieugięty, twardy grzbiet wagonowej ławy, wciśnięta zdrętwiałymi kolanami w kolana sąsiadów jak w żelazne oklepce, z ramionami i łokciami skrzepowanymi przez cudze ramiona i łokcie — powolnymi szarpnięciami przeładowanego pociągu zdążając niecierpliwie z Chabówki do Zakopanego, cofałam się myślami wstecz, w czas, który dla mnie został już na zawsze czasem „przedwrześniowym”.

Przymajaczył mi się jeden dzień sierpnia orzesiony deszczem przywianym przez halniak.

Cztery oswojone wiewiórki, nanurzawszy się do syta w smrekach roztopionych w zielone fontanny, przepłynęły w ostatnim skoku próg hallu i sterując po podłodze mokrymi ogonami sadowiły się rzędem na ciepłych ceglach przed ogniem w kominku. Wtem otworzyły się naprzeciwne drzwi wejściowe i z nową falą wilgoci wszedł przez nie gość.

Wbrew domowym zwyczajom zdziwiłam się temu gościowi. Gdyż był to gość zza morza i w tej chwili powinien był znajdować się za siedmioma górami i za morzem właśnie. Przecież odpłynął był przed paru miesiącami do Kanady, by pisać tam powieść, jeszcze jedną spośród polskich powieści o Polakach, którzy wędrują za chlebem i przygodą cudzymi drogami po cudzych ziemiach dalekich.

Niespodziewany gość mokry był równie jak wiewiórki, więc siedliśmy społem w suchym ciepłym promieniującym z płonących polan. Jedliśmy nasiąknięte deszczem czernice zebrane przed domem spod liści paproci i pytałam:

— Dlaczego wrócisz rychlej niż zamierzałeś?

Odpowiedział sucho:

— Gdyż będzie wojna.

Pochyliłam głowę. Powolnym ruchem szczypców starannie ogarnęłam przepalone głównie w popielisku. Powiedziałam nie podnosząc głowy:

— Jeżeli będzie — będzie straszna. Lepiej ci było zostać tam, nie wracać na ten czas. Nie spozrzałam na niego, lecz znałam go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że uśmiechnął się swym krótkim, nagłym uśmiechem, który rozjaśnia twarz po to, by zaraz za sekundę pogrzyźć ją w cieniu.

— Dostałam awans na porucznika. To znaczy, że będę wezwany. Gdyby nie to... —

pochylił się i od dogasającego żaru zapalił papierosa. Nie potrzebował kończyć. Znałam go. Gdyby nie został wezwany i tak poszedłby. Na ochotnika.

Deszcz ustał. Ostatni podmuch wiatru omiół niebo z wilgotnych resztek chmur. W okniętym, chłodnym słońcu cienką, srebrną polewą zalśnił świeży śnieg na górach.

Odszedł gość. Odbiegły wszystkie cztery obeschnięte, ożywione wiewiórki. Wysłałam i ja do ogrodu.

Tupotały po drodze góralskie kierpce. Za płotem, na drodze, gromadka chłopców ciskała w coś kamieniami. Zachęcali się krzykliwe do celności uderzeń.

— Ej chłopcy! Czy aby nie ciskacie kamieniami w wiewiórki? — zawołałam zaniepokojona.

Małe góralszki popatrzyły ku mnie przez płot z urazą. Prowodyr, snać dotknięty do żywego odparował wyniośle:

— Kamieniami wiewiórki bić? Ni! Ja przeciw nie jestem taki hitler.

Padło to słowo. Lecz w jakże dziwny sposób wyszło z ust podhalańskiego dziecka: nie jako nazwisko i nie jako nazwanie tego właśnie człowieka. W umyśle dziecka w sposób zupełnie naturalny stało się ono przymiotnikiem, określeniem zła, złem samym. A więc tym, czym było w istocie swej od samego początku i przez tych pięć lat, aż po obecną chwilę.

... Chwila obecna! Ze wspomnień, jak ze snu na jawę wynurzam się raptownie na jej powierzchnię, trącona natarczywą ręką najbliższego sąsiada w wagonie przepełnionego pociągu Kraków—Zakopane.

Nikt z płońskiego góralskiego narodu, ale jakiś hruby gazda obmacuje świdrowatymi oczami mój kraciasty pled o żywych, żółtych barwach, niegaszonych jeszcze kurzem dróg i brudem straszliwych noclegów. Cienki pled, pod którym teraz drzę z zimna.

— Przedacie to? Ii, pewnie przedacie. Z Warszawyście — warszawiacy wszystko sprzedają. Ile chcecie? No mówcie.

— Nie na sprzedanie — mówię zdziwiona niemile.

Chłop się nie stropił.

— Przedacie, wcześniej czy później przedacie. Lepiej wcześniej, no, ile?

— Niiiii — mówię już ze złością. — Wybyście, gazdo skórę z żywego człowieka kupili.

Nie obraził się. Kiwa głową nagannie, ale i wyrozumiale. On wie swoje. Po wagonie, jak wiatr po owsisku, idzie pogwar... Warszawiaki. Znają ich tu na Podhalu. W każdej gminie kupami siedzą. Gmina żywi. Chociaż to: „Wicie, u nas samych tak: jak obrodzą ziemniaki, to nie obrodzi owies, a jak obrodzi owies to nie obrodzą ziemniaki” — tłumaczy mi blada, jak wymłócona słoma, młoda gązdzinka.

Nie trzeba! Ileż to razy widziałam na grapach czarnej, martwej „rzasy” owsa, sterczące spod zwalistego śniegu, który pośpieszył upaść przed żniwami.

— Znam to — mówię — bo przed wojną jeszcze siedziałem we własnej chałupie w Zakopanem.

— O! Toście źle, biednie trafili w tej Warszawie.

— Haj — powiadam krótko. I twarz odwracam do okna.

Daleko, daleko widać je: góry. Tatry! Przymykam oczy. Dziwię się. Zapomniałam, że łyż są ciepłe. Zapomniałam, że z oczu mogą lać się łzy. I przypominam sobie:

Nie miałam łez w oczach, gdy trzy lata temu w 41 roku przyjechałszy umyślnie z Warszawy wchodziłam w próg naszego domu, „Domu pod Gwiazdami”, do którego wzbrowili mi Niemcy wszelkich praw.

Było majowe słoneczne popołudnie. W naszej jadalni, na naszym modrzewiowym stole,

nakrytym naszym lnianym obrusem stała nasza zastawa stołowa. Starosta nowotarski, Niemiec, ze swoją niemiecką rodziną przywiezioną z Rzeszy zasiadł do podwieczorku zgotowanego w moich naczyniach i na moim palenisku. Na ścianie domu, który według niemieckiego prawa nie był już moim, w miejscu, gdzie tak niedawno malowana na szkłe święta Katarzyna uśmiechała się do nas łamiąc chleb — zobaczyłam portret Führera niemieckiego narodu. Patronował grabieży.

I był dzień.

Świeciło słońce.

W jasny dzień, w słońcu odchodziłam stamtąd. W ogrodzie nie dojrzałam żadnej wiewiórki. Wystrzelane. Nie usłyszałam sikor, ani drozdów. Wypłoszone. Buda psa owczarka, naszego Bacy, była pusta. Tego Bacy dostaliśmy szczeniakiem od sąsiadów.

Zaszłam nawiedzić ich. Zobaczyć, jak żyją w swej drewnianej kłitce, nie przedstawiającej wartości dla przedstawicieli Herrenvolku. Żle im się żyło. On, stary zesłaniec-bojowiec, ona — sybiraczka przed laty już przywieziona przez niego z Syberii, z zesłania. Patrzyli na mnie wzruszeni, pełni słów, nie mogących przejść im przez gardła. Wzywano go już do badania na gestapo. Na drugi raz nie przetrzyma tego... Raczek sam odbierze sobie życie... Wysoki, przeraźliwie chudy, podobny cieniowi, już wówczas był po tamtej stronie istnienia, nim w kilka miesięcy później dobrowolnie wypuścił ze swych żył krew razem z życiem.

Obca narodowością i wiarą kobieta, jego żona, wierna wszystkiemu, w co wierzył ukochany przez nią człowiek, żyła po jego męczenniczej śmierci w chmurze bezsilnej nienawiści. Słyszałam potem, że bezsilna i bezradna wypływała ze siebie tę nienawiść słowami. Płuka nimi w twarz Niemców. Aż stało się, co nie mogło się nie stać: zatłukli ją, „tę komunistkę” na śmierć.

To było później.

Teraz Sybiraczka pełna życia, czarnowłosa i śniada siedziała uśmiechnięta przy łóżku swego męża i dla różweselenia mnie opowiadała przygodę ezworonożnego stworzenia, które łączyło oba nasze domy — przygodę owczarka Bacy.

Więc gdy przyszli do „Domu pod Gwiazdami” i zobaczyli psa, zaraz go sobie przywłaszczyli, że rasowy, oni wszędzie wszystkie psy rasowe rabują. Dawali mu mięso. A Baca ani w pysk nie bierze. Wyje. Od Niemców nie chce brać. Dzień, dwa, parę dni. Stania się z głodu, a mięsa nie tyka, osłabł. Leży. Wciąż wyje. Ludzie dowiedzieli się. Przychodzą ukradkiem. Przez płot patrzą. Słuchają.

— On u nas tylko serwatka i kaszą jęczmienną był karmiony. Przyczynał się do tego tylko. — Przerzywam opowiadającej, ale kobieta nie daje się przekonać.

— Taki już pies: — Od Niemców nic, zdechnie. Nic z nim nie mogli wskórać, wołali mnie, żebym go przecie namówiła do żarcia. Wreszcie zostawili: niech zdycha. Wtedy to...

Dalszy ciąg był mi już znany z listów znajomej góralki: gazda jeden z Kościeliska wziął Bacy do siebie. Pasie im teraz owce. Jest szczęśliwy. Nie odwieść go jednak. Nawet pies nie może mieć dwu panów.

To był, rachuję, rok 42... A potem — trzeci... Przez te lata wiele gęsto zapisanych drobnych kartek przesunęło się między Zakopanem i Kościeliskiem, a Warszawą. Z trwożą w sercu dowiadywałam się o losie góralskich znajomych rodzin. Aresztowani. Rozstrzelani. Wywiezieni. Uciekli w góry i nie wiadomo co z nimi. Coraz inne, coraz nowe imiona i nazwiska. Coraz gęściej imion i nazwisk.

Podhale, ten o skalistych wrębach, przykryty najcudowniejszym niebem kocioł wszelkich najdzikszych i najcudniejszych możliwości. Przyroda nieokielzana. Ludzie w pętą od wieków nieujęci, nie znano tu pańszczyzny,

łamiącej grzbiety i dusze. Chłop jeśli był czyj, to tylko królewski, czyli Rzeczypospolitej. A i takim czasami być nie chciał. Jeśli zaś miłował ojczyznę i poświęcał się dla niej, to nigdy z musu, zawsze z dobrej woli. Pokorny jak jagnię i pyszny jak królewiatek kresowe, dawał się wodzić niespokojnym duchom.

Kędyż to szukał Kostka Napierski, nieprawy królewicz Władysławowiec, swoich czcigodnych a żarliwych i zapalnych sołtysów Łętowskich, jeśli nie na Podhalu?

Gdzie, jak nie tutaj, na sukurs Polsce szli zbrojną ławą Chochołowianie?

Kto stworzył i wyhodował na Groniku Janosika Nędzę i jego dwunastu towarzyszy, z których jeden tak pięknie na gajdach przygrywał?

Jakimiż innymi perciami mógł chadzać Homer Tatr, który się wołał Jasiak, przezywał Sabała, był Gąsienica, a pisał się Krzeptowski?

Gdzie później tegoż Krzeptowskiego poety wnuk niesławny poszedł na lep niemieckiej propagandy, zamyślając „państwo góralskie” utworzyć...

Zapisywali się zrazu poniektórzy Podhalanie jako że są do narodu góralskiego należący, ale przecież byli i tacy, co się z tego jedno śniłali, jak ów stary góral, który gdy w urzędzie rejestracyjnym namawiali go Niemcy, iżby się „na górala zapisał”, „bo” przekonywali go, „przecież cyfrowane portki góralskie masz”, odrzekł z przekonaniem „portki juści są góralskie, ale co w portkach — polskie.”

Takich nie łatwo było przerobić.

Miał który dom w Zakopanem — rzucal go i szedł biedować do odległej wsi, byle nie musieć wypierać się polskości. Drobniejszym udawało się nieraz.

Na hrubszych gazdów pilniej zwrócone były oczy. Takiego zrazu namawiano po dobroci. Potem grożono mu, wreszcie przychodził rozkaz wysiedlenia.

Ale góral na fantazję łącie magnacką.

O świtanii, przed dziedziniec wygnańca za jeżdżąc cwałem pojazdy ze śpiewem, z hukaniem. Konie przy pojazdach strojone w kwiaty farbowane, w pióra, we wstęgi, w zieleń. Jak na weselu. Muzyka jest. Gra. Po wesel-nemu.

Rusza pochód. Pędzą kierdel owiec brzęczący dzwoneczkami. Drepcze stado rogatego bydła. Toczy się na wozach statki gospodarskie. Jawnie weseląc się pod ponurymi spojrzeciami Niemców zdążają odswieżenie przyodziani ludzie. Wszystko — ku nowemu życiu, w trudzie, ale honornie i po polsku.

Będą i tacy, którzy zrazu wyrobiją sobie volksdeutschowskie kennkarty, a potem nekani wstydem zażądają kart rozpoznawczych narodowości polskiej, aby się stać na długo pośmiwiskiem Polaków, a przedmiotem złości Niemców, bo muszą cierpieć na drzwicach domostw lub przedsiębiorstw obwieszczenie: że „tutaj Niemcom wstęp wzbroniony, jako że człowiek ten oddał niemiecką kartę przagnąc polskości”.

Różnych bo ludzi rodzi Podhale łaskawe i srogie zarazem dla wszystkiego, co żyjące. Aby tu trwało życie, muszą żyjący trzymać się gromady, muszą pospołu bronić się i walczyć.

Dosyć, myśliwce urodzeni, napodglądali dzikich zwierząt w górach. Wiedzą co i kiedy i jak... Jedno spojrzenie, błysk oka, ruch warg, brwi... skinięcie dłoni... jedno, pół słowa — i już wiesz co trzeba ci wiedzieć. Jużeś tu lub tam — zawsze gdzie należy, gdzie trzeba. Nie zawsze z bronią w ręku, w lesie. I już prowadzisz walkę o wszystko: o książki polskie, które ratujesz od zniszczenia, o dzieci, które tajemnie uczysz, o ludzi przeznaczonych na wywóz, których kryjesz przy pomocy sfalszowanych kart pracy.

Ośmiela i to, że z odmiennym biegiem wojny odmieniali się i Niemcy sami. Przynajmniej niektórzy.

Oto wyrzuciwszy z sanatoriów polskich chorych, młodzież i dzieci, sprowadziły władze do Zakopanego rannych i ozdrowieńców.

Jest uroczyste otwarcie szpitala. W wielkiej, pięknej sali szpitalnej menażerzy wieszają wspaniałe portrety opatrnościowego człowieka, Führera. Zdobia go swastykami i limbowym wieńcem.

Lecz cóż to się dzieje? Tlum także Niemców, ale tych właśnie przybyłych z frontu rannych i kalek rzuca się z rykiem na bożka. Zrywają portret ze ściany-oltarza, depczą go, miażdżą butami, rwą na kawały: Precz! Precz z Hitlerem!

A potem główną ulicą Zakopanego jadą odkryte ciężarowe auta pełne skazańców. Wszystko Niemcy. Skuci łańcuchami. W mundurach wojskowych. Jeden z żołnierzy przykutą za kikut odrąbanego ramienia.

Polacy stoją na ulicach. Nikt ich nie spędza. Nikt im nie zabrania patrzeć. Widzą to.

Władze straciły głowy. Polacy patrzą na widowisko.

Ale takie rzeczy nie ujdą bezkarnie nawet dla widzów.

Czas zawsze należy do nas: zdają się bel-



Uchodźcy wracają

kotać trupie łebki nad czołami gestapowców w straszliwym gmachu „Palaceu“.

Ci czuwają. Ci pracują. Ci zacierają żniwo z każdego siewu.

Oto o czym myślałam w październikowy dzień tysiąc dziewięćset czterdziętego czwartego roku, gdy po powstaniu Warszawy, po obozie koncentracyjnym i po tułaczce usiłowałam dotrzeć pociągiem do domu w Zakopanem.

— W Zakopanem teraz spokój — mówili mi bezwstydnie jedni — można uprawiać zabaw i sportów, jak przed wojną.

— W Zakopanem, jak w całej Polsce — mówili mi krótko drudzy.

Dom zastałam pusty.

Ostatnio zajmująca go rodzina niemieckiego urzędnika wyjechała w popłochu nie zapominając wszakże zabrać wszystkich rzeczy, tak że zostały tylko nagie ściany, których nie mogli już ukraść.

Niemcy cywilni opuszczali Zakopane.

Zbliżał się front. Leśni partyzanci tawali się coraz śmielsi, coraz napastliwsi.

Ręka w rękę szło ku nam zwycięstwo i klęska. Zwycięstwo Czerwonej Armii i klęska Niemiec.

Ale dopiero w styczniu zobaczyłam ich z opadymi z twarzy maskami pychy Szli piechotą, zgarbieni, z opuszczonymi głowami. Wspierali się na kijach. Polykali się na nieźnej grudzie. Ślubi się wspierali się wzajemnie ramionami lub czepiali się taborowych wozów. Szli dniem. Szli nocą. Tempo marszu wystukiwały armaty.

Aż w którymś nieprawdopodobnym, a jednak rzeczywistym poniedziałku Zakopane ujęło się bez Niemców.

Parę wysadzonych mostków. Spalona elektrownia — to było ostatnie ukąszenie zalegającej gądziny.

O zmierzchu przecwałował ulicami podjeżdżającej się Czerwonej Armii. Powiły białoczerwone chorągwie.

Byliśmy wolni.

Lawina zebrań potoczyła się na Zakopane.

Ludzie, których usta zakneblowane, a ręce spętane były przez wszystkie lata wojny nie mogą dość nacieszyć się boskim darem wolności słowa, możności czynu.

Artystów spędzonych z całej Polski mnóstwo jest w Zakopanem.

Aktorzy, malarze, rzeźbiarze, muzycy, pisarze, architekci — wszyscy, wszyscy, wszyscy mają się zebrać w sali „Morskiego Oka“.

Czy ja to przeżywam? Czy naprawdę ja?

Kilkanaście dni temu, w czasie największej łapanki na Podhalu, zostałam rano wywieziona przez gestapo z domu i prowadzona pod strażą do „Meerauge“. Tu więzionych już od świtu było setki osób. A wciąż przybywały nowe.

Gdy weszłam na teatralną salę Morskiego Oka natłoczoną ludźmi i spojrzałam na estradę, zadrżałam dziwnym uczuciem — ostatni raz byłam w tej sali w sierpniu 1939 roku na koncercie Egona Petriego.

Chopin... Beethoven... Rok 1939!...

Trupie łby gestapowców i esesów przesłoniły wszystko. Niespokojne, trwożne westchnienia uwieżonej bezbronnej i bezwinniej tysięcnej gromady ludzkiej zagłuszyły odległe echa muzyki.

Trzy doby męki. Trzy doby straszliwej niepełności.

Bezapelacyjna decyzja: Na wyjazd... Na wyjazd... Na wyjazd...

I rozpaczliwa, szczęśliwie udana próba ucieczki...

I oto dziś po kilkunastu dniach zaledwie w tej samej sali Morskiego Oka pierwsze w wolnej Polsce zebranie Zawodowego Związku Pracowników Sztuki.

(Trzy momenty — trzy światy).

Władze zakopiańskie rozumieją znaczenie i wagę sztuki w odrodzonej Polsce. Pomoc ich jest żywa, przyjazna, wydajna.

Artysty dostają domy związkowe, poparcie w pracy zawodowej. Są świadomi, że wysiłki ich, które podejmują z zaparciem się siebie przy tworzeniu nowej i lepszej rzeczywistości, nie pójdą na marne.

\*

Gdy pisarze śpieszą na pierwszy swój wspólny występ autorski, od strony Bukowiny nadjeżdża korowód umajonych sań z orkiestrą góralską na czele.

Weśle góralskie?

Gdzie tam! W saniach sami młodzi chłopcy.

Przybywają hucznie do gminy na rejestrację, do polskiego wojska.

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

# Pozegnanie Lublina

„Wielka rzecz, pospolita rzecz...“ te słowa z pieśni Pierwszego Korpusu formują — ilekroć je składam — moje myśli o Lublinie. Tam usłyszałem je, wymawiane dobitnie przez kompanię maszerujących żołnierzy. Tam wymawiali się one w pałose historycznych już dzisiaj wydarzeń, tak samo jak w prostej o tych wydarzeniach rozmowie. Tam powtarzałem je bez pamiętania, że już ktoś użył ich przekonywająco i raz na zawsze. Dziś czynię tak samo, wspominając.

Dziwne miasto w czasie. W przestrzeni — tak, jak inne miasta, nie bardzo młode i nie bardzo stare. Z główną ulicą, reprezentacyjnym placem, parkiem i zabytkami, tą legitymacją cywilizowanego istnienia. Ale w czasie! Dziś wiem na pewno, że szybciej od innych miast Lublin obracał się dokoła ziemskiej osi. Bo czymże tłumaczyć bezsporny fakt, że wyprzedził inne, bardziej zaawansowane w długości geograficznej miasta o kilka miesięcy pobytu pod słońcem. Nawet Warszawę! Ale to już zbyt dramatyczne pierwszeństwo, jeśli pomyślimy, że serce Warszawy pękło na samej mecie, kiedy miała już wstępną na piersi.

Dziwne, bo jakież jest inne, chociażby raz w swoim życiu, miasto, które po kilkumiesięcznym pobycie ludzie dorośli, mający już swoje miasta dzieciństwa, dojrzewania i młodości, adoptują i uznają za własne? A działa się, że Warszawianin, Lwowianin lub Paryżanin (z przekonania), stwierdzali jednocześnie, bez porozumiewawczych przedtem gestów, że Lublin to ich miasto rodzinne. Musiało ich do tego skłaniać coś bardzo ważnego. Coś ważniejszego niż klimat, który mógł wpłynąć na radykalną zmianę rytmu krążeń myśli, bicia serca, lecz nie mógł unieważnić przyzwyczajenia, szczególnie takich, co były przyzwyczajeniami wzruszenia.

Gdy historycy i pamiętnikarze będą okres lubelski w dziejach Nowej Polski przedstawiać i wydarzenia tego okresu opowiadać, to muszą uzbroidz się w pióra niecierpliwe i gwałtowne, gdyż dokumenty i wspomnienia z lipca 44 — stycznia 45, będą ich atakowały w sposób nieznany na ogół ludziom nauki. Będą musieli ponadto od poetów nauczyć się wrażliwości i zdolności adekwatnego nazywania zjawisk takich, jak trzęsienie ziemi, co pozostawia nie zawałiny i wyrwy, lecz równo podcinane działki chłopskich pól. Zjawisk, które nie w wyobraźni, lecz w przeżywaniu były metaforyczne.

Wy, mieszkańcy Krakowa, Łodzi i Kielc, którzy na później, kiedy się mrozy skończą i poła obrodzą, odkładacie budowę własnych widoków na przyszłość, musicie sobie koniecznie uświadomić, że w Lublinie była także zima i paskarze, i że do frontu było dużo bliżej, niż jest obecnie z Krakowa. Że wielu z nas, ludzi Lublina, zdarło na drodze doń lub straciło w spalonych domach — buty i pała. Także inne rzeczy, które w pewnych warunkach, a zwłaszcza przy określonym do tych warunków stosunku — są naprawdę bardzo ważne. Trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć, że żadne braki, które są przeciwbytkami całej pohlterowskiej Europy, nie mogą stanowić o epoce, jej przeżywaniu, a przede wszystkim jej tworzeniu. O tym decydują wola i charakter, a także nieodparta konieczność. Konieczność innego rzędu niż zaspokajanie fizycznego głodu i fizycznego pragnienia.

Każde niemal przeżycie lubelskie było przeobrażeniem; już nie tylko osobowości przeżywającego, lecz warunków, materii i nawet krajobrazu. Na terenie Lublina i w województwie, w pierwszej fazie, części kraju działły się w skupieniu, w ześrodkowaniu możliwości i talentów je realizujących te przemiany, którym podlega już dziś, lub podlegnie jutro, cała Polska. Tam wyrwały się one z morza koncepcji i wyobrażeń, tam stawały się naturalnie, drogą ewolucji samej rzeczywistości lub wybuchały. Lublin od nagromadzonych ładunków ideologicznych rozbłyskiwał i palił się ustawicznie, a żar rozchodził się w Białostockie, Łomżyńskie, Chełmskie, Sandomierskie i Rzeszowskie. Tak byliśmy wszyscy zaabsorbowani wkładaniem własnych głów do ognia, że zapomniałyśmy o bliskości frontu i terminie wykupywania chleba na kartki. A jedno i drugie było. Nawet noc różniły się od przesypanych tutaj. Wtedy niewidoczniała całkowicie zapadająca się przeszłość i na tle ciemności (elektrownia, bywało, pracowała tylko dla potrzeb frontu) z naszych przemysłów, jak fajerwerkierki rozrywały się pomysły przyszłości. Myśleliśmy głośno o jej stroju. Będący dzisiaj w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Katowicach i gdzie indziej, wtedy dyskutowaliśmy o wymiarach i gatunkach materiałów. W jednym byliśmy jednomyślni wszyscy — w kolorze.

Literaci, malarze, nauczyciele i spółdzielcy wnosiliśmy, jak kto umiał, słowem, farbą lub drapaniem trosk — by były obszerne. By zmieścić was, z naszymi pragnieniami, was kolegów, którzy czekacie. Różniliśmy się niekiedy w poglądach na szczegółiki krajobrazowe. Sprzeczałyśmy się o pagórek, kierunek nurtu rzeki, lub zagajnik sosnowy. Postanawialiśmy wtedy, że was zapytamy. Nie czekaliśmy natomiast dla naszego wspólnego

dobra z najważniejszym. Rozporządziliśmy sami ziemią, słońcem i powietrzem.

A przede wszystkim uczylimy się. W Lublinie uczylimy się Polski. O żadnym innym mieście (przebacz, Warszawo!) nie wypowiem się tak uroczysto w obawie, że samym nazwaniem przeobrażę je do niepoznania. Ale tu nie o nazywanie chodzi. Tak było. Mieliliśmy, a przynajmniej wielu z nas w swoim przedlubelskim życiu miało, często obraz kraju zamiast jego rzeczywistości w pamięci. A przecież od tego, przez kogo obraz był komponowany, zależała jego wierność i zgodność z prawdą. Różnie bywało. Przypomnienie rzeczywistości było konieczne przedtem nim łuk tryumfalny będzie jej wzniesiony. Nie to, czy nauka była łatwa lub trudna, jest dzisiaj ważne. Była natomiast. Nie wystarczyło nauczyć się wiedzieć, trzeba było odnieść z powrotem do encyklopedii inne o tym samym przedmiocie wiedze, bo nastał czas, że nie mogło być dwóch umiejętności równie dobrych. Dopiero posiadanie tej jednej, ważniejszej niż dwóch, dawało pełnowartościowe lubelskie obywatelstwo. Dlatego tak było i jest dla nas cenne.

Polska w naszej o niej wiedzy była bliska i dostępna dla każdego, kto posiadał cenzus uczciwości. Sprawiedliwa. I oczywista. Taka, której by się nie dało wyinterpretować tak lub inaczej. Jak chleb powszedni rozumiejąca się sama przez się.

W tym mieście skromnym i żyznym zaczęła się Polska spełniać. Polska zbrojna w ziemię, człowieka i jego kulturę. Ta która się dokona już na oczach wszystkich. I pewnie tutaj znajduje się to najważniejsze, co sprawiło, że uznaliśmy Warszawianie, Lwowianie i Poznaniacy — Lublin za miasto własne. Dlatego, że tutaj rozpoczęliśmy nowe — dla jednych po raz drugi, dla większości po raz pierwszy — życie. Na nowej ziemi, pod nowym słońcem, zaczęliśmy nowym oddychać powietrzem.

Ziemia! W Lublinie wyzwolono ją z uwięzi folwarków i ich kluczy. Reformę rolną postanowiono wykonać natychmiast mimo wojny i zajęć przez nią narzucanych, gdyż uznano ją za sprawę nie mniej od wojny ważną. Wykonano ją w całości. Może będzie uchodzić za hyperbolę przypisanie tego dzieła Lublinowi w tych innych miastach, które też o sobie dobrze myślą, to jednak tak: Lublin sprzyjał. Był sam tak bardzo wydarzeniem, że nie lekkał się wydarzeń historycznych. Przyspieszał je, by bardziej uświadomić sobie swoje miejsce w czasie. W tym mieście wyglądającym częstokroć architektonicznie jak stolica wsi, masy ludowe ujęły silniej za czepliwej pluga. Uświadomiły sobie, że nie za długo nadejdzie czas, gdy traktory zwolnią ich ręce, by mogły one schwytać za rajbrety, pióra i książki. Tam w Lublinie wstał nowy dzień solidarności ludowej. Samopomoc Chłopska, potężna nie tylko w pomysłu, ale już w realizacji na ziemiach Lubelszczyzny, Rzeszowskiego i Sandomierskiego organizacja, jest i będzie w całej Polsce chłopskim mózgiem i wolą. W dzień pierwszego zjazdu Samopomocy w Lublinie nie można było znaleźć wolnego miejsca w teatrze, sali koncertowej, kinie, czy restauracji. Na ulicach, zdawało się, idą tylko buty z cholewami. Widząc to, wiedziało się więcej.

Przebudować człowieka — było jednym z pierwszych zadań przez Lublin wypowiedzianych. Powiedzianych tak. O człowieku i konieczności dokonania zmian w jego strukturze umysłowej i moralnej mówiono i pisano wiele i zawsze. Także podczas tej wojny. I nie o to, przytaczając zdanie Lublina, mi chodzi. Przebudować człowieka, to stworzyć mu takie ramy ustrojowe, w których by się mógł zmieścić bez amputacji ręk, mózgu, czy serca. Tak miasto, z którego przyjechałem, przebudowę rozumiało. Procy przebudowy człowieka i ich głosniki słyszalne były w każdym ustroju. W jednym nazywało się to prosto: zdyscyplinować, w drugich nieprzekonywająco: wychować. Ale w obu wypadkach chodziło o mniejszy lub większy zabieg chirurgiczny. W Lublinie sprawa człowieka to była właśnie jedna z tych, dla omawiania których nie było dosyć dni i nocy. Mówiło się o pracy do dokonania natychmiast i o tej na wiele lat rozkładanej. Wyleczyć z okupacyjnej choroby, wdrożyć ukochanie wolności i poszanowanie prawa, wychować nie od abecadła począwszy, ale dużo wcześniej, od demokracji i na demokracji skończywszy. Te ogólniki przestają być ogólnikami w chwili, gdy realizuje się ich treść hasłową w szkole, życiu publicznym i wojsku.

Wojsko Polskie! Wy, którzy poznajecie je przybywające do was z Lublina, nie domyślcie się może jeszcze jak wielkich jest ono przeobrażeń wyrazem. Patrząc na oficerów, myślicie pewnie, że wojna pozbawiła ich ruchów wytworności, a gestów — nonszalancji. Że gdy ona minie, wrócą postacie wymytych i nic nie robiących umundurowanych młodzieńców. Nie wrócą! Zbrojne ramię narodu nie będzie zakończone rękawiczką, lecz prostą i mocną dłoń. Korpus oficerski Wojska Polskiego będą tworzyć chłopcy i robotnicy,



Zamek w Lublinie. Litografia z XIX w.

tak samo jak inteligenci. Bo demokracja nie zaczyna się od pewnego, umownego miejsca. Jest, albo jej nie ma. A Lublin przyniósł nam demokrację nie w hasłach i pustych słowach, lecz w praktyce. Wypraktykował demokrację z korzyścią dla wszystkich stron. Powszechną i pełną. Od tytułu obywatel poczawszy do braku górnej granicy. Od uświadomienia pierwszych prawd wolności, poprzez śmierć biurokracji, do organizacji kultury narodowej.

Dla organizacji kultury, dla planowania tej organizacji Lublin działał więcej niż 20 lat międzywojennych. A przede wszystkim uznał kulturę za równorzędną z innymi dziedziną życia państwowego. Pracownik kultury, pisarz, malarz, muzyk, architekt, czy artysta sceniczny, uzyskał świadomość swojej ważności społecznej, swojej roli w życiu społecznym i jednocześnie — podstawy fizyczne do spełniania obowiązków z tej ważności wynikających. Sprawowanie opieki nad kulturą narodową nie sprowadzało się w Lublinie do okolicznościowych przemówień, lecz realizowało w pracy Ministerstwa Kultury i Sztuki, które zabezpieczało zabytki po miastach i wsiach (dwory poziemskie) i współpracowało ze Związkami Zawodowymi literatów, plastyków i innych. W tym krótkim, pełnym trudności i wojny okresie utworzono ośrodki wypoczynkowe dla pracowników kultury w Nałęczowie, Ciechankach (literaci) i Łanuchowie (plastycy). Każda impreza artystyczna była wydarzeniem niemal państwowym a interesowali się nią nie tylko opiekunowie z urzędu, lecz również kierownicy dziedzin życia państwowego odległych kompetencyjnie. A osiągnięcia? Skromne, z trudem, w walce z brakami materialnymi realizowane, ale były. Wznowił swą działalność uniwersytet katolicki, utworzono nowy im. Curie-Skłodowskiej. W trudnych warunkach (brak akcesoriów i in.) zorganizowano teatr, który wystawił „Wesele“ i „Dożywocie“. Odbłyły się dwie wystawy malarskie, wiele koncertów. Związek Literatów mimo głodu papierowego i braku drukarni wydał cztery książki poetyckie (Jastrun, Przyboś, Putrament i Ważyk) — cztery spojrzenia na rzeczywistość wojenną. I — trudno przemilczeć — wychodziło „Odrodzenie“. W nakładzie 15 000! Tu i ówdzie znajdujące się komplety „lubelskie“ mogą zaświadczyć.

W mieście, gdzie dzielono ziemię, gdzie ulicami przejeżdżały kolumny samochodowe, wiozące zaopatrzenie dla frontu, gdzie jednocześnie z burzeniem starych ruder planowano budowę przyszłego wygodnego dla narodu domu, nurt myśli był wartki i często przelewał się przez niewysokie brzozi. Lecz nie to było uderzające. Dno musiało być skaliste, by uniemożliwić zamulanie. Każdy z nas, ludzi Lublina, wiedział, że ważniejszy niż wszystko inne jest czynny stosunek do stającej się rzeczywistości. Że tylko ten i taki stosunek daje nam obywatelstwo tam, gdzie nie ma czasu i miejsca na sprawy jednostkowe. Świadomość tego posiadaliśmy wszyscy. I dzisiaj rozwiezieni po całej Polsce pragniemy świadomością tą zarazić innych. Wszyscy wrażliwi pojmą to sami, prędzej lub później pojmą. Pragniemy być katalizatorami ich pojmowania. By zrozumieli już teraz, natychmiast, że wartością najpierwszą jest ważność społeczna.

To mówi do nich nie największe, nie najpiękniejsze, lecz najbardziej niecierpliwe miasto Rzeczypospolitej.

W Lublinie było nas wielu. Chwilami było nam ciasno w izbach, gdzie po siedem łózek stało. Dzisiaj, niekiedy pięciu na całe miasto, rozmieszczeni w osobnych pokojach, czujemy się związani ze sobą bardziej niż z przyjaciółmi dawnymi. Mamy o czym mówić, wiemy o czym i jak myśleć. Wspólnie lub pojedynczo wspominamy Lublin. Teraz znów spokojny, troszczy się o swoje własne sprawy, rozplanowane i uporządkowane lepiej niż gdzie indziej. Już w innym mieście artyleria pozdrowi zdobycie Gdańska i Szczecina. Tutaj, kiedyś jubileusz, rocznica. Na codzień praca. A Lublin umie pracować. Zajęty nie zauważył nawet naszych, gorączkowych, bez pożegnania odjazdów.

Jeśli mi wolno i w imieniu własnym również go pożegnać teraz, to czynię to usłyszonymi na jego ulicach, słowami pieśni Pierwszego Korpusu.

W poprzednim (16) numerze „Odrodzenia“ z dnia 18 marca: Edmund Osmańczyk: Kraj krzywdy. — Jerzy Andrzejewski: Warszawianka. — Adam Ważyk: Uwagi o Norwidzie i norwidyzmie. — Zofia Nałkowska: Węzy życia (4). — Czesław Miłosz: „Głosew biednych ludzi“. Pieśń obywatela. Kawiarnia. Biedny poeta. — Jan Kott: Zgasłe mity poetyckie. — Artur Sandauer: Śmierć liberata. — (wb): O teraźniejszości. — Jan Kott: Po prostu. Uciekla nam przepióreczka... — Kazimierz Wyka: „Przemienię z wiatrem“. — B. E. Sydor: Chopiniana wojenne. — Stanisław Dygat: Mieszkaniny. — Kronika. — 8 ilustracji (m. in. 4 rysunki Eryka Lipińskiego).

MARIA KURYLUK

# Andrzej

Adam poruszył się przez sen, z trudem otworzył obrękle od długiego czuwania powieki, w jego wystrzony słuch wpadł ostatni odgłos strzelaniny.

Kiedy znów ucichło, próbował usnąć. Leżał wyprostowany na łóżku z jedną ręką wzdłuż ciała, na lewej, rzuconej łukiem nad karkiem opierała się jego głowa o jasnych, sypkich włosach. Robił wrażenie, jakby chciał zająć jak najmniej przestrzeni. Spał tak zawsze — wyciągnięty jak struna, lub na boku obrócony plecami do Stefy. Przywykł do tej pozycji od pierwszej ciąży żony, kiedy żył w ciągłej obawie, aby w nocy, we śnie, jakimś nieopatrzonym ruchem nie zrobić jej coś złego.

Ciszę rodzającego się dnia za oknami przeciął śmieszny, jaskrawy głos trąbki samochodowej. Adam tym razem przebudził się gwałtownie, zerwał się i usiadł na łóżku. Nasłuchiwał, niespokojny. Samochód skręcił obok domu, pojechał dalej, coraz słabszy napływał odgłos trąbki. Tututu, tuutu. Podniósł rękę, która drżała i zrobił nią zwyczajny sobie ruch — odrzucił na tył głowy włosy spadające na czoło. Jego szare, głęboko osadzone oczy były dziś ciemniej podkute niż zwykle, były jak oczy dziecka obnażone.

Spojrzał na Stefę. Spała w pozycji nieco skulonej, twarzą obróconą ku niemu. Czarna gęsta fala włosów spadała jej na pierś, podnosząc się spokojnym, miarowym oddechem. Szerokie, pełne usta miała lekko rozchylone, a nad jej nieco perkatym nosem chwiały się jak liść, granatowy łozek.

— Dobry ma sen. Czy jej nie gnębi to samo co mnie? To przecież nasza sprawa. A jednak śpi. Więc — może dobry znak?...

Jej śmiały, w górę zadarty nos, stanowczo i silnie zarysowane linie ust nabrały dla niego w tej chwili zupełnie nowego wyrazu, nowej wartości i nowego znaczenia. Jakby ją zobaczył po raz pierwszy. Chciwie oglądał jej twarz, wpatrywał się w jej rysy, jakby chciał z nich czerpać moc i spokój.

Nie widział jej zmęczenia. Nie chciał go widzieć, chciał się pokrzepić na duchu, odepchnąć zmore, która od kilku dni szła za nim krok w krok. Nie pozwalał rodzić się myśli, że Stefa śmiertelnie znuzona bezsennymi nocami z powodu nalotów, troską o dzieci, a przede wszystkim do głębi poruszona ostatnimi wypadkami w organizacji — usnęła wreszcie dzisiaj przemęczona.

I patrząc na nią oczyma szukającymi rątku, uspokoił się.

Falą napłynęły ku niemu wspomnienia z młodych lat.

W otwartym oknie, — wiatr pędzący suchawe tęcze chmury i gałąź kwitnącej wiśni, lśniącej od deszczu. Białe i różowe płatki wirują na błękitnym, zielonym i złocistym tle. Czarny, żółtodzioby ptak skacze na gzymsie, wykonuje śmieszne, ale miłe ruchy głowy.

Ten obraz — ramy okna zamykające w sobie subtelny pastel wiosny — związał Adam na zawsze ze Stefą. Siedziała wówczas obok niego i czytała nieco zbyt głośnym, ale dźwięcznym, wyrażającym siłę głosem, fragmenty z Herzena.

Szkoła, nauka. Stefa była zdolniejsza. Miała inteligencję żywą, błyskotliwą. Całe życie spędziła w mieście. On przyszedł z zapadłej wsi, trochę dla niej dziwny, milczący. Pragnął nauki, jak głodny chleba. Tym rzucił się w oczy Stefie, która miała ciekawość obserwacji nie wyżytych zresztą często złośliwości oraz zapał do nauki. Uczyli się razem, pomagali sobie.

Po latach, kiedy ukończyli szkoły, zamieszkałi razem. Kochali się. Oboje młodzi i zdrowi pracowali, walczyli. Byli zawsze z sobą, choć musieli się często rozstawać. Wymagała tego ich praca.

W najcięższy czas, kiedy Adam stracił pracę, urodziło się dziecko — dziewczynka. Chcieli mieć dzieci. „Gdybym urodziła syna...“ marzyła Stefa. Spodziewali się przyjsca innych czasów.

Było im ciężko. Mieszkałi w jednej izbie, wieczorem byli już tak znudzeni całodzienną pracą, że pozostał im tylko czas na przeczytanie gazety i przeglądnięcie podręczników.

Adam podniósł się nieco na łokciu i patrzył w stronę białego łóżeczka. To Jędrus rzucał się niespokojnie we śnie. Jak czerwone jabłko odcinał się krągły policzek dwudziestomiesięcznego synka od bieli poduszki. Do serca Adama napłynęła ciepła fala i zarazem ból.

Przypomniły mu się ostatnie dni.

— Czy nie powinienem odejść?

Znów wyrosło to pytanie. Od chwili aresztowania komendanta organizacji Józefa, prześladowało go wszędzie, stało się prawie jedynym tematem jego rozmów ze Stefą. Stało się złowieszczą pomiędzy nimi. Zdawało mu się chwila, że pytanie to przyoblekło ciało ludzkie, że ma dobrą twarz o mądrym spojrzeniu, że to jakiś cichy, do tej pory zapoznany, najwierniejszy przyjaciel idzie za nim.

Wiedział, że powinien odejść, a jednak... Znów wyrzucił się przed nim obraz owego okna otwartego na wiosnę i Stefy czytającej na głos: „Być rewolucjonistą — to obowiązuje“. Przyszedł dzień, kiedy został aresztowa-

wany za udział w strajku. Stefa została sama z małą Heleną, zwolnili ją z posady, głodowała. W tym czasie, kiedy on siedział we więzieniu związał się z nią jeszcze bardziej. Przychodziła do niego na „widzenia“ długo wypraszane u komisarza policji, zawsze czysta, z dzieckiem na ręku, nie dawała znać po sobie, że bieda... Podtrzymywała go na duchu, informowała go o wszystkim. Pewnego razu, chcąc mu zakomunikować ważną sprawę, dała mu znak. Zrozumiał, że chce by ją pocałował w same usta. Strażnik stał obok nich, nie mogli swobodnie rozmawiać. Żegnając się z nim, przywarła ustami mocno, parła zębami, zmuszając go do otworzenia ust. Poczuł coś lepszego na języku. Kiedy strażnik się oddalił, splunął w garść. Rozwinał mały paperek, przeczytał. Nie było tam nic osobistego.

Adam patrzył wstecz, na lata, które minęły. Mógł sobie powiedzieć, że nie zboczył nigdy z drogi. Przeglądając szeregi bliskich mu ludzi, widział towarzyszy. A teraz... Jak to się stało i kiedy, że stracił ufność, że nie wiedział, komu wierzyć? Jakiś szkodnik przedostał się do nich, przegrzał korzenie ruchu, Adam już nie wątpił, że przeżarł się gdzieś do samej góry. Może siedzi z nim, ramię przy ramieniu na tajnych obradach? Kto? Kto jest prowokatorem?

Kiedy rozpoczęła się krecia robota szpicla? Może zarzucił całą sieć swej działalności na naszym terenie — myślał Adam. — Nie ma prawie odcinka, na którym by wszystko było w porządku. Kto wie, czy Tadek i Wasyl nie padli wówczas w walce leśnej z rąk niemieckich, zadenuncjowani przez...

Przypomniał sobie słowa Piotra po otrzymaniu wiadomości o niespodziewanej śmierci Tadzika, najlepszego towarzysza, organizatora ruchu. „Samiście go na śmierć wystali!“ wycisnął Piotr przez zęby z ogromną gorczyca i odwrócił się do niego plecami. Chciał ukryć ból, który, czuł to, zmienił mu twarz. Nie widział jeszcze nigdy Piotra takiego, był zawsze zrównoważony i uśmiechnięty. Słowa jego oburzyły go wówczas, zapytał gwałtownie:

— Co to znaczy? Mam prawo żądać od ciebie wyjaśnienia.

Piotr obrócił się, twarz miał spokojną, popatrzył tylko na niego wzrokiem, którego Adam nie mógł zapomnieć i powiedział głosem, jakby ważył każde słowo:

— Powiem ci: coś u nas cuchnie. Nie mam do rady zaufania.

Adama zastanowiły te słowa, nie miał jednak wówczas jeszcze wątpliwości i uśmiechnął się lekko. Ot, po prostu przewrażliwiony Piotr, przeczelony inteligent. Ale ponieważ wiedział, że Piotr szczerze kochał Tadzika i nie mógł o nim zapomnieć, wybaczył jego ostre wystąpienie, jak mu się wtedy zdawało, niczym nieuzasadnione. Dzisiaj, wspomnienie owej rozmowy z Piotrem odżyło w nim na nowo. Tak, Piotr miał słusność. Od tygodni wyrzucał sobie brak czujności z jednej, a nadmiar czujności z drugiej strony. Był często nieufny wobec towarzyszy, którzy na to nie zasługiwali, zniechęcał ich brakiem serdeczności, a tam gdzie trzeba było, nie dopatrywał się zła. A zło zaczęło się czaić w każdym zakamarku, szczególnie w robocie wojskowej. Piotr wcześniej, zwrócił na to uwagę, a teraz znów ostrzegął. Ostrzegął przed niebezpieczeństwem powstałym przez aresztowanie Józefa, który, jak się dopiero teraz dowiedziiano, chorował na padaczkę, a w razie ataku... Piotr nalegał na Adama, aby bezzwłocznie opuścił mieszkanie.

— A Stefa? Co się stanie ze Stefą, jeśli przyjdą po mnie a nie znajdą? Wezmą Stefę i dzieci.

— Stefy nie wezmą — odpowiedział Piotr. — Trzeba tylko oczyścić dom, żeby podczas rewizji nic nie znaleźli.

Adam wiedział, dlaczego Piotr był taki pewny co do Stefy. Bywał często u nich i nieraz miał możliwość obserwowania jej podczas obrad. Konspirowała się świetnie. Nie brała udziału w rozmowach organizacyjnych, udawała, że jest poza tym światem, w którym oni przebywali, że interesuje się jedynie dziećmi i gospodarstwem domowym. A wiedziała o wszystkim. Piotr był pewny, że aresztowania, które rozpoczęły się w organizacji, zostały dokonane na podstawie doniesień prowokatora. Były zresztą na to niedwuznaczne dowody. Jeśli tak, to będą szukali tylko aktywu.

Adam milczał. Pożegnał się z Piotrem, serdeczniej niż zwykle uściśnął jego dłoń i odszedł.

Co miał mówić? Czy ktoś wiedział, jak bardzo mu było ciężko? Stefa... Gdy Niemcy weszli do miasta, ukrywał ją, drżał o jej życie. Zostawił wszystko, by pójść z nią na nowe mieszkanie, do innej dzielnicy, gdzie nikt ich nie znał. Stefa otrzymała fałszywe dokumenty, prawdziwe zakopano. Miała ciemną, wschodnią urodę Ukrainki, nikt nie podejrzewał jej prawdziwego pochodzenia. Nie wtał jęmniecznie nikogo, nawet najbliższych towarzyszy.

A teraz miały ją opuścić! Jeśli przyjdą, a jego nie będzie, wezmą Stefę, dokumenty ją mogą zdradzić, a wówczas... Dzieci... Helena wie, że rodzice pracują przeciw Niem-

com. W ciasnym mieszkaniu, w którym często odbywały się narady, nie mógł się to ukryć przed małą, rozumną Heleną. Wnet stała się nawet pomocna partyzantom. Będzie milczała, póki będzie razem z matką, póki będzie czuła na sobie jej spojrzenie, ale jeżeli ich rozłączą... Nie! Lepiej niech wezmą — jeśli tak być musi — jego, Adama, może nie zabiją, może przeżyje...

— I Stefa mogłaby razem z dziećmi ukryć się u towarzyszy. A później... — szepnęła inna myśl.

Tak, Stefa powinna opuścić dom. Ale Stefa nie chciała. Uparła się, że nie. Jak to, zostawi dom, pójdą na tułaczkę, a z czego będą żyli, co dzieciom głodnym da jeść? Straciła równowagę duchową i orientację. Nie wierzyła w pomoc oddanych towarzyszy. Wiedziała, że odejść z domu, to znaczy zmienić dotychczasowe życie na trudniejsze. Nie mogła się zdecydować. Wmawiała w siebie i w Adama, że nic się nie stanie, że ona ma takie przeczućcie. Wolała, żeby razem zostali w domu. Ostatecznie mógłby Adam w ostatniej chwili uciec tylnymi drzwiami, o których nikt poza mieszkańcami domu nie mógł wiedzieć.

— A może ona ma słusność. Może w ogóle nie przyjdą?...

I jak zbłądzone dziecko, które odnalazło w tłumie rękę matki, czepiał się myśli, która znów wypłynęła: to nie oni, to nasi przyjdą. Nasi... Stoją przecież pod Tarnopolem. Lada dzień...

Jednak myśl, tak jak zabłysła, zgasła. Adam leżał obok żony, ale czuł się samotny. Pot strugami oblał mu twarz i ciało, koszula była lepka.

— Czy wolno mi tak myśleć? Czy wolno o wszystkim zapomnieć? Przecież nie, tylko do niej należę...

I nagle błyskawicznie, zdecydowanie, po meksku: pójdę. Jeszcze dziś.

W tej chwili samochód zatrzymał się przed domem. Adam rzucił okiem na zegarek. Gdy usłyszał dobijanie się do bramy, wiedział, że to po niego. Wyskoczył z łóżka. Był ubrany, gdy doleciał go odgłos ciężkich kroków na schodach.

— Stefo! — ręka jego skurczyła się wokoło jej dłoni. Otworzyła oczy, spjrzała na jego zmienioną twarz, usłyszała głosy pod drzwiami i zrozumiała. Nim zdolała wypowiedzieć „idę“, szepnęła:

— Idź, miły.

Wyskoczyła z łóżka, włożyła mu kapelusz, chwyciła jego rękę i przeprowadziła go przez przedpokój do kuchni, skąd było owo drugie wyjście na podwórze. Stąd oficynami na wolność. Rzuciła okiem na podwórze. Leżało szare, senne, zwyczajne, niezakłócone. Była w tej chwili zupełnie spokojna. Tak trzeba było, nie dzisiaj, nie tymi drzwiami, ale wczoraj, przedwczoraj, normalnie...

Ostry brzęk dzwonka przeraził ją. W tym ułamku sekundy uświadomiła sobie grozę sytuacji. Zbliżyła się ku drzwiom, zaczęła je obmacywać, niby w poszukiwaniu klucza. Chciała Adamowi zostawić jak najwięcej czasu.

— Otwórz!

Głos zza drzwi przemówił do niej mową ojczystą.

— Zaraz. — Zebrała się w sobie, by nie drzeć. — Zaraz, klucza znaleźć nie mogę.

Wreszcie otworzyła.

Dwa światy zmierzyły się ze sobą.

Oczy ich wpatrujące się w uchylone drzwi prześwidrowały kobietę stojącą na czarnym tle przedpokoju w białej nocnej koszuli. Nie zdolała narużyc sukni. Jedną rękę trzymała na kłamec, drugą przytrzymała koszulę na piersiach. Wpatrywała się w nich obojętnym wzrokiem. Była woskowo biała.

Weszli i zatrzasnęli drzwi za sobą. Było ich sześciu. Gestapo i granatowa policja. Widząc, że oficer-Niemiec chciał ją odrzucić na bok, sama się usunęła i otworzyła im drzwi do pokoju, który był sypialnią i jadalnią. Rzuciła okiem po pokoju, przeszła do następnego, szukała. Stefa widziała Jędrusia, który siedział w łóżeczku i patrzył olbrzymimi, ciemnymi jak wiśnie oczyma i poczuła lekki dotyk ręki. „Małeczko! — głos Heleny — Mamo, weź szlafrok.“

Gdy zapytali ją o męża, odpowiedziała, że go nie ma, że wyjechał. Zobaczyła wścibski błysk w oku gestapowskiego oficera, ale nie poczuła w tej chwili tryumfu: nie znaleźli. Myśli jej krążyły w okół Adama, pierwotny spokój zaczynał ją odstępować. Oblął ją zimny pot.

Kiedy rozpoczęli rewizję i przewracali wszystko — wysypali nawet puder z pudełka i szukali — myślała: czy uratował się? Czy na ulicy ktoś nie czatował? Chcąc ukryć przed nimi drżenie przecznych rąk, wzięta Jędrusia na ręce i tuliła go do siebie.

— Prowadź dalej, do dalszych pokoi — głos oficera wdarł się w jej niespokojne myśli ostrzem bagnetu.

— Jest jeszcze kuchnia — ocknęła się, wskazała ręką kierunek.

— Prowadź. Idź naprzód, przed nami. Verfluchte Partisanen.

Szła przed nimi, czując w sobie przestraszone spojrzenie wielkich oczu Heleny. Została w jej pokoju, w którym dwóch szperało. Po pierwszych krokach odwróciła się, chciała ją zabrać ze sobą. Bała się o dziecko. Zobaczyła zielono-czarny mur, majaczące na tym tle srebrne trupie czaszki.

— Czego chcesz? — warknął oficer.

Tułac mocno Jędrusia do siebie rzekła:

— Dziecko — tanto — zabrać ze sobą.

— Macie ją, jaka dobra — popchnął ją automatem — nic jej się nie stanie, zaraz wrócisz.

Otworzyła drzwi do kuchni, małej i ciemnej, przekroczyła próg i nagle poczuła w sobie ogromną słość, zdawało się jej, że runie w przepaść.

— Adam! — krzyknął Jędrus. I jeszcze raz: „Adam, taa!“ Wyrwał się z jej rąk, wyciągał krótki, pulchawy rączki. Śmiał się, piszczał, jego grube, czerwone policzki rozdziły się w śmiechu, pokazał małe, szerokie ząbki.

Na środku kuchni stał Adam w swoim granatowym płaszczu, w szarym kapeluszu. Cztery lify skierowały się w jego pierś.

— Ręce do góry!

Podniósł ręce do góry, uczynił to machinalnie, zdawało się, że nie widzi ludzi, którzy przysłgi zabrac. Patrzył na Stefę. Oczyma mówił: Mogłem, a jednak nie mogłem... Spojrzał na syna, który ukrył w tej chwili, przestraszony, głowę na szyi Stefy i pomyślał, że jego dzieci nie będą wiedziały, co to jest barbarzyństwo.

Począł, że grube, drapieżne ręce zaczęły jak mrówi łaźić po nim i znów ogarnęła go nieważność. Przyszło mu takie dziecinne, śmieszne życzenie: Gdybym był granatem! Stwierdził z gorczą, że nim nie jest.

Gdy Helena zobaczyła ojca prowadzonego przez gestapowców, wsunęła głowę pod kołdrę. Co o nią zrobią? Wnet jednak wysunęła głowę z powrotem i w tej chwili poczuła na sobie ciepły, nieznaczny uścisk Adama. — Dwa dni temu ukończyła 9 lat, jest w tej chwili ładniejsza niż kiedykolwiek. Jak to dziecko się rozwija — uświadomił sobie Adam.

Wcisnęli go na krzesło i przywiązali sznurkiem.

— Ty jesteś Andrzej, przyznaj się. — Oznajmiłmu wysoki, barczysty policjant w granatowym mundurze, akcentując słowo Andrzej. — Mów prawdę, a włos z głowy ci nie spadnie. Zresztą — my i tak wszystko wiemy.

— Ja nie Andrzej. Mojemu synowi na imię Andrzej, Jędrus. — Rzekł Adam bez wahania. — Ja, Adam.

Mówił powolnie, wpatrując się w Stefę, która usłyszawszy pseudonim organizacyjny Adama, zżółkła jeszcze bardziej. — Trzymaj się — wymowne były oczy Adama — trzymaj się i milcz.

— Verfluchter, my wszystko wiemy! — wrzasnął Niemiec, któremu ów barczysty tłumaczył słowa Adama złą niemczyzną, pomagając sobie gestami. — Trzeba się wobec tego inaczej do niego zabrać.

Wścibkym gestem włożył reniferową rękawiczkę i wymierzył policzek — w próżnię. Adam uchylił błyskawicznie głowę.

Oficer poczerwieniał.

— Rozwiązać go!

Rozwiązali, kazali wstać, wstał. Nie wiedział, że swoim zrównoważonym zachowaniem doprowadził gestapowców do pasji. Był już poza tym światem, którym był dla niego dom. Wiedział, że przekroczył próg innego świata, którego jedyną prawdą jest upodlenie. Przygotował się wewnętrznie na to życie, myślał o nim teraz, próbował swej siły.

Obstawili go tak gęsto, że nie widział już ani Stefy, ani dzieci. Popychali go automatami, wyprowadzili. Stojąc przed samochodem, odwrócił jeszcze raz głowę i spojrzał w okno, w które w ciągu dwuletniej pracy konspiracyjnej wpatrywał się czujnie, wracając do domu. Zobaczył żonę i dwie jasne główki. I w tej chwili poczuł w sobie ulgę.

## Sprawy polskie

„Tęcza.“ Wanda Wasilewska napisała powieść „Tęcza“. Tematem jej jest życie, cierpienia i walka ludzi wsi ukraińskiej pod okupacją niemiecką w zimie 1941/42 r. Książka ukazała się w druku w sierpniu 1942 r. i nabrała niezwykłego rozgłosu i popularności. Została przetłumaczona na rosyjski, angielski, francuski, szwedzki i wiele innych języków. Wasilewska otrzymała za nią nagrodę Stalina. Opracowany na jej podstawie film należy do najlepszych w wojennej kinematografii radzieckiej. Obecnie w „Nowych Widnokrągach“ drukuje się nowa powieść Wasilewskiej „Po prostu miłość“.

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. W lipcu 1944 roku odbyło się pierwsze uroczyste zebranie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej, będącego Sekcją Organizacji Wolnej Europy i Przyjaźni Narodów. Do prezydium honorowego weszli spośród pisarzy: Roman Rolland i François Mauriac. Zebranie uchwalilo wznowienie Mickiewiczowskiej „Trybuny Ludów“ jako naczelnego organu Towarzystwa Przyjaźni Narodów. „Trybuna Ludów“ przestała wychodzić w roku 1949.

„Słownik staropolski“. Prof. Kazimierz Nitsch ukończył długoletnią pracę nad słownikiem języka polskiego do roku 1500. Prace nad tym słownikiem rozpoczęły się jeszcze pięćdziesiąt lat temu. Poprzednikami prof. Nitscha w pracy nad tym monumentalnym dziełem byli Baudouin de Courtenay i Stanisław Estreicher.

Znany historyk literatury Kazimierz Czachowski, kierownik Departamentu Literatury w Ministerstwie Kultury i Sztuki, wyjaśnił, że Departament Literatury składa się z czterech działów: organizacyjnego, zagranicznego, twórczości literackiej i wydawnictw.

KAZIMIERZ BRANDYS

# Miasto niepochowane

Kiedyś niedawno, ktoś kto po raz pierwszy drewnianym mostem z Pragi przeprawił się na drugi brzeg i nie mógł powstrzymać okrzyku zgrozy na widok tego co ujrzał, powiedział mi: „Tego nie wolno ruszać. Niech zostanie jak jest”. Ten okrzyk był naszą pierwszą myślą, zakrycie oczu pierwszym gestem. My, którzy kochaliśmy to miasto, chcemy dziś kochać jego rozsypane cegły. Niech zostanie jak jest. Bo jakiś inny pomnik wystawili tej śmierci? Była to śmierć olbrzymią i liczną, wśród dymu, ognia, huku tygodniami umierało tu wszystko co żywe i martwe. Ginęły mury i ludzkie, sprząty, drzewa i latarnie, parkany, klomby, konie, tramwaje. Ginął król, strącony z kolumny, palił się Chrystus na krzyżu, święci konali na ołtarzach, a na skraju miasta zadano śmierć gwałtowną ciałom złożonym w grobach po śmierci spokojnej. W tym roku rozpacz i zwycięstwa — Powązek po raz pierwszy nie osnuł dym zadusznych świateł. Nie oszczędzono nawet tych, którzy nigdy w tym mieście nie wstana do buntu.

Ale to przecież jasne: nie zostanie jak jest. Każda poszarpana cegła warszawska wystawi sobie pomnik w betonie i stali; może za kilka lat, jak chcą jedni, czy za kilkanaście, jak twierdzą inni, Krucza i Wspólna odrodzą się piękniejsze niż przedtem. Krucza i Wspólna, Bracka, Mokotowska — te nazwy zapewne zostaną dla ciągłości, pamięci i trwania. Być może, że ulice, które staną tu kiedyś, będą podobne do ulic, które niegdyś tu padły, jak dzieci są podobne do zmarłych rodziców. Jest to sprawa przyszłości. Kochamy już to miasto, którego jeszcze nie ma i kochamy miasto, które przestało istnieć. To wszystko, co się stało, uczyniło z nas dziwne plemię: jakiś ułomny szczep z zachwianym zmysłem terażniejszości. Kto przeżył te pięć lat wojny w cieniu Mariackiej wieży, nie zrozumie nas nigdy.

Złoty drewniany most na Wiśle zawiądział nas przed kupkę gruzów, który niegdyś był naszym domem ojczystym. Staliśmy tam z opuszczonymi rękami. Z rzeki dochodził nas huk rozsadzanych szczytków przesła. Na znajomych skrzyżowaniach dróg stały dziewczęta w rogatywkach, kolorowymi chorągiewkami wskazując kierunek. Parowami wśród ruin przemycyły auta pełne żołnierzy. Tędy biegł szlak na Łódź, na Toruń, Katowice, Kraków. Czekaliśmy ogłupiali na bezradziejny cud, pomieszał się w nas jakiś szyk i rytym, rozsądny skład naszych godzin i dni sywał się w proch. Ach, panienko z orzełkiem na półowej czapce, pokaż nam chorągiewkę nasz zagubiony szlak... Nie było o co zaczepić chwili terażniejszej, nie było na czym oprzeć myśli o czasie przyszłym. Czy na te schody wejść? Czy ten próg przekroczyć? I wtedy jakiś szczerątk, jakiś żalona reszka, rama portretu, który towarzyszył nam od dzieciństwa, jakiś spalony list, portiera. Aż własna zablokowana stopa trafiła na jakąś rzecz zbyt drogą, więc dość, odejść stąd i nie wrócić nigdy.

Słowa, które piszemy o tym mieście, którzy w nim żyli i przy których umarło, wspomnienia jego ostatnich chwil — oto jedyny pomnik, jaki można mu dziś postawić. Zanim odgłos kilofów, rozwalających gruzy Woli, Powiśla, Śródmieścia, szeroko obiegnie kraj, trzeba, aby prawda o konaniu Warszawy stała się rzeczą jawną dla wszystkich, którzy nie widzieli jej ogołconych cokołów, zwalonych wież i wyłupionych, osłепłych bram. Trzeba pisać o Warszawie. Litera naszych słów, wiersze stróż, szeregi zdań w kolumnach — powinny układać się w kształt wypalonych okien Brackiej, wykreślać szczyt kontur ruin Nowego Świata i wawozów staro-miejskich cegiel. Są to ostatnie chwile. Któż potem zdoła napisać słowo o trzech powalonych mostach, któż potrafi zrozumieć słowa: powalony most, jeśli nie ci, co przekraczali w dni lutego i marca Wisłę po krzyżu od Saskiej Kępy na Solec?

Pewne dzielnice ginęły w sposób wyjątkowy. Stare Miasto wygląda jak skamieniały las. Resztki domów szerzą się niby spiczaste sosenki, jedna obok drugiej w regularnym szuku. Tu śmierć była dokładna, szybka, równomierna. Teren górzyści. Nasypy rumowisk, doliny, przesmyki, urwiska. Krajobraz Placu Napoleona, Wareckiej, Mazowieckiej można by nazwać podgórskim. Trudne pochyłości, molażone wyżyny, musisz skakać z kamienia na cegłę, z cegły na belkę i dalej. Domy wokół, wstecz i wprost rozprute wzdłuż przez piętra.

Ale gdzie indziej, dalej czy bliżej, w lewo czy w prawo — może być znów inaczej. Jakiś zakręt, jakaś przecznica, jeden krok — i okropne złudzenie: Warszawa. Jezdnia, chodniki, ludzie na chodnikach, domy proste, pionowe, szeszcienne, rzędy okien; nie widać obnażonych schodów, pieców czy żyrandoli, są ściany, mury, balkony. I to, te domy wypalone od wnętrza, te ocalałe fasady, te równe, kształtne okna, przez które na wylot płyną chmury — jakież przeraźliwe. Te domy same wspominają siebie, wskazują, mówią jakie były niegdyś: tu mam kartusz dobrze zachowany, oto moje pilastry, oto attyka, kolumny; łatwo rozpoznać moją twarz — jestem prawie niezmienny... Tak jest, te domy są niemal niezmiennione, jak dobrze zachowane zwłoki. Dopiero uważne spojrzenie rozstrzyga o prawdzie: okna. Ich okna nie odpowiadają patrzeć.

Krakowskie Przedmieście. W jakieś wilgotne lutowe południe szedłem tamtędy w stronę uniwersytetu. Miejsca najlepiej znane w świecie. Ciało Warszawy wciąż leży na porojej ziemi, nieruchomo rozpięte od Mokotowa do Bielana, szpalery rozciętymi kamienic, doliny i wzgórza rumowisk biegną w tych samych kierunkach, śnieg owija to ciało jak bandaż, ale cóż się stanie, gdy stopnieje śnieg? Cokół bez Kopernika, dom Karasia bez wnętrza, cukierka pod Staszicem, zwana „transcendentną“ przez studentów filozofii, którzy, zdawałoby się, jeszcze tak niedawno grali tu w mechaniczny bilard. Szedłem dalej. U szczytu Uniwersytetu powitał mnie niemiecki betonowy bunkier. Przyspieszyłem kroku, jak dawniej, gdy obawiałem się spóźnić na wykład. Ale tym razem wiedziałem, że zdążę na pewno. Czarne kalekie drzewa powiodły mnie aleją. Wróciłem. Nie chciałem iść dalej. Lecz wychodząc stamtąd, o jednym należy pamiętać: nie trzeba zwracać głowy w tę starą stronę, gdzie niegdyś...

**W oddali nikł Zygmunta miecz,  
Zamek Królewski, Nowy Zjazd.**

Bo tam już nic nie ma.

Któż mógł przewidzieć tę samotną śmierć? Bo sama śmierć, trzeba to pamiętać, dokonała się zaoznie. Nie było nas przy niej. Przez szereg miesięcy to miasto konało bezbronne w obcych okrutnych rękach. Wróciliśmy po wszystkim. Ciało powalone i osłepłe nie było już Warszawą. Rozbitą tramwaj leżał na jezdni do góry brzuchem. Jacys ludzie skakali pokracznie przez wyrwy i doły, zapuszczali się do bram, na piętra, w piwnice, wywlekali z domów książki i wnętrzości. Własnym przemysłem oprawiano nieboszczyka. Półudzie, ćwierćudzie wywalali książki z półek, szukając złota, deptali po starych drukach, wycinali płótna obrazów na worki, antyki rabali w szczapy.

Gdzieś przechodząc, na Hożej czy Wilczej, potknąłem się niemal o leżącego chłopca z karabinem w dłoni. Któż litościwy hełm mu nasunął na oczy, ktoś inny, zaradny, ściągnął buty z nóg, ktoś trzeci, wierzący, wetknął krzyż w pale — albo też, co być może, wszystko to uczynił jeden dobry druh — litościwy, zaradny, wierzący. Nad głową chłopca, na murze był napis o Polsce i jakiejś scrafitto powstańcze, wyrysowane kredą. Gdyby ława zachowała przyszłości tę powstańczą śmierć, byłby temat dla uczonych, mędrców i poetów. Ten chłopiec długo leżał nieokryty ziemią wraz z miastem, które z nim padło. Natura zabija lepiej niż ludzie. Pompea umarła szybciej niż Warszawa. Wartyownik z Herculanium krócej ginął niż chłopiec na Hożej.

Herculaneńska warta i warszawska straż przy barykadzie. Obydwie bezowocne, obydwie beznadziejne. Więc po cóż ta śmierć, po co ta ofiara? I kim byli ci, co zażądali tej śmierci półbezbronnych chłopców, męczeństwa kamienic, placu głodnych dzieci? Na widok smutnej reszty, jaka została na ziemi po ulicach Warszawy, trudno mi było opędzić się myśli, że ludzie, którzy ją pchnęli w obłąkaną walkę, nie byli z tego miasta, że przybyli z jakiegoś mrocznego kąta świata, gdzie nie szanuje się istnień żywych i martwych, przeszłych i przyszłych, gdzie nie dba się o nic i o nikogo, tylko o rzeczy własne.

Ulicami ciągną tłumy pieszych. Korowody pielgrzymów przeprawiają się przez zawaloności runowisk. Przed resztką starego dworca usadowiły się drewniane kramy. Wędliny, tłuszcze, słodycze, pieczywo, skarpetki, złoto. Warszawa jest zaopatrywana. Może ten, co ściągnął żołnierzowi buty, albo ów, co mu wetknął krzyż w sztywne palce, sprzedaje teraz tytoń tym, co zachowali obuwanie i życie. Czy uczeni, którzy za ileś tam wieków odgrzebią spod stwardniałych warstw jakieś ciało bez butów, z karabinem w dłoni, czyjąś głowę w stalowym hełmie, opartą o szczerątk barykady, pod murem z dziwnym rysunkiem — czy potrafią przeniknąć pośpepną zagadkę tych dziejów i niepojętą duszę miasta, które umiało łączyć wytrwałość z nierozważną, miłosierdzie z wyzyskiem, przeczycie swej własnej wzniosłości i lichosć okupywać najwyższym męczeństwem? Do dziś, do teraz, pewnie o tej godzinie czyjeś stopy deptają jeszcze po zablokowanych książkach w opustoszałych warszawskich pokojach, stratowanych przez setki innych stóp, czyjeś ręce wydzierają obicia mebli, zrywają wierzchy tapczanów, rąbiają sekretery na drwa. I o tej samej chwili inne ręce, pomocne i ofiarne, ratują ocalałe resztki, dźwigają sprzęty, książki, obrazy, aby je przenieść na jakieś miejsce bezpieczne od tamtych rąk. Spod gruzów Mazowieckiej wydobyto Tiepola, w Alejach Ujazdowskich — Andrea del Sarto, na Piusa — beczenny księgozbiór i XVII-wieczny parawan, który już ktoś chwycił na pokrycie dachu. Ileż rąk pchało cię w przepaść, Warszawy.

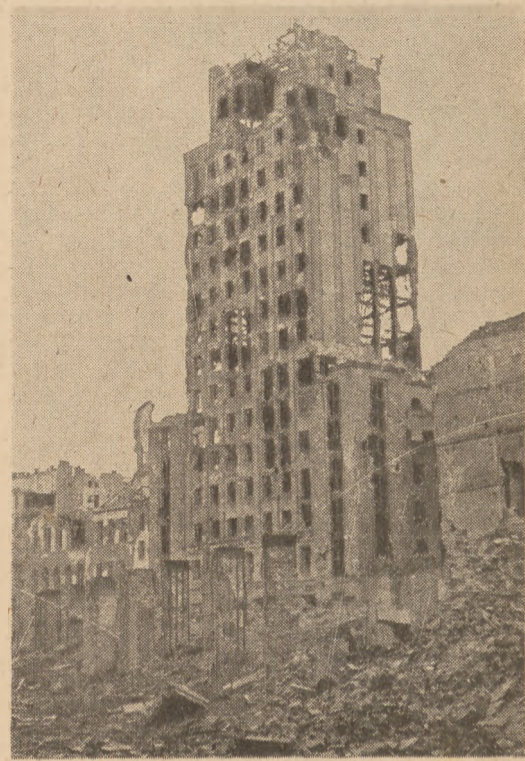
W umarłym masywie miasta, na rumowiskach, w ocalałych kłatkach pięter, wśród własnych gratów i cudzych antyków — na nowo legnie się życie. Wkrótce dzieci zaczną przychodzić na ów smutny świat. Dziś miasto owija śnieg, lecz cóż się stanie, gdy śniegi stopnieją? Wieczorem w dniu wyjazdu włokłem się w stronę Zachodniego Dworca, zgięty pod tobołem. Minąłem groźną, nachyloną ścianę

Dworca Centralnego, pod moimi stopami chęściła biała ziemia. Szedłem w ciemności, nie odwracając głowy. To miasto zostawało za mną niepożrebanie, wystawione na marcowe deszcze i kwietniowe burze. Chciałem stąd uciec zanim stopnieją śniegi. Bałem się ujrzeć obnażone rany w tym ciele, którego nie przysypano ziemią. Szedłem, nie oglądając się za siebie, czarne dmy Grójeckiej żęgnaly mnie w ciemności, wyteżałem w sercu oszukańczą wiarę, że zostawiam za sobą miasto, jakim było dawniej: wiadukt pełen świateł, ławki w Alejach w duszne wieczory letnie, lipcowe szepty w parkach i łuk Nowego Świata z tęczą neonów na asfalcie.

Tak żęgnalem Warszawę. Zdawałoby się — na długo — jeśli nie na zawsze. Lecz oto w parę dni później w Krakowie, po drodze z Rynku do domu zatrzymał mnie jej głos. Odnalazła mnie, dościgała. Stałem, słuchając, wryty w ziemię, gdzieś — na Krupniczej czy na Karmelickiej, deszcz spływał mi na twarz z ronda kapelusza. Jakiś megafon z za węgła przyniósł mi słowa poety, który umarł wcześniej, niż miasto, które opiewał. Słuchałem.

**Warszawo, ach, któryż to raz  
Od murów twoich biegnę precz.  
W oddali nikł Zygmunta miecz,  
Zamek Królewski, Nowy Zjazd...**

Jak trudno cię porzucić, Warszawo.



Drapacz chmur na placu Napoleona

## Wędrowniki w poszukiwaniu książki

Zapowiedziany wyjazd do Moskwy przemówił mi głęboko. Po raz pierwszy miałem znaleźć się w ośrodku siły i woli, kierującej Związkiem Radzieckim, miałem zobać życie ludzi, żyjących w innych niż nasze warunkach. Zdawałam sobie sprawę, że to co zobaczę, co usłyszę, będą to tylko drobne szczegóły i fragmenty. Wierzyłam jednak, że dopomogą mi do odkrycia i zrozumienia prawdziwego oblicza ZSRR. I nie zawiodłam się. Konferencje z przedstawicielami nauki, literatury i sztuki sowieckiej, zebrania informujące o pracach dokonywanych w dziedzinie odbudowy, zwiedzanie fabryk i muzeów, mniej lub więcej oficjalne bankiety i przyjęcia, a wreszcie samotne włóczęgi po ulicach i sklepach Moskwy tworzyły jeden obraz: obraz narodu, żyjącego podczas obecnej wojny w ciężkich warunkach materialnych, pracującego bardzo intensywnie, o ogromnej dynamice, ożywionej głęboką wiarą, że jutro będzie lepsze i że stoi ono otworem dla wszystkich, dla każdego, kto chce je osiągnąć. Ta chęć osiągnięcia dziś wyższego poziomu, niż był wczorajszy, uwidoczniła się na każdym kroku. Jest ona umiejętnie rozbudzana i podtrzymywana przez system socjalistycznego współzawodnictwa, plastycznie opisany przez Katajewa w „Naprzód, czasie!“, zastosowanie go daje doskonałe rezultaty.

Jednym z najbardziej miarodajnych wskaźników intelektualnej żywotności narodu jest jego stosunek do słowa drukowanego, a przede wszystkim do książki. Zagadnienie to obchodzi mnie bardzo, toteż zwróciłam nań szczególną uwagę. Prasę czytałam zarówno ogólnopolską, jak i lokalną: ani w jednej, ani w drugiej nie ma rubryki wypadków i kradzieży, nie ma sensacji, ani frywolności. Ogłoszeń bardzo mało i tylko w lokalnej gazecie, pośród nich nieliczne ogłoszenia o rozpoczęciu kroków rozwojowych takich to a takich małżonków.

Może ktoś powiedzieć, że gazeta jest taka, jaką ma być na skutek zarządzeń z góry. Ale czym w takim razie wytłumaczyć rozchwytanie gazet w kilkanaście minut po ich ukazaniu się w sprzedaży? Obowiązku kupowania nie ma.

Pięć lat pobytu pod okupacją niemiecką w każdym z nas zaostrzyło głód książki, toteż obiecywałam sobie wiele jadąc do Moskwy.

Kioski sprzedaży w hotelach, teatrach, salach koncertowych. Księgarń — dużo. Ulicę Kuzniecką Most można by przyrównać do warszawskiej Świętokrzyskiej, oczywiście z czasów przedwojennych: co drugi, trzeci dom księgarń, a nawet na niewielkim placu budka-antykwarnia. Są też liczne antykwarnie-sklepy. Lokale księgarń na ogół skromne, dokoła lokalu lada, na której pod szkłem egzemplarze książek znajdujących się w sprzedaży. Jest to dla kupującego bardzo wygodne. Można swobodnie zapoznać się z zawartością księgarń niezależnie od obsługi, która jest nieliczna. Z bardzo małymi wyjątkami sprzedawcami są kobiety. Oczywiście każdą żadaną książkę otrzymuje się do przejrzenia. Księgarnie są do pewnego stopnia różnicowane według specjalności, ale nie jest to rygorystycznie przestrzegane. Najważniejsze jest to, że w handlu można znaleźć tylko wydawnictwa najnowsze — z kilku ostatnich tygodni, może miesięcy. Wydawnictwa dawniejsze — to rzadkość, nawet w księgarni nakładowej. Taką właśnie jest księgarnia Akademii Nauk, w której zdobyłam (acz nie kompletne) wielotomowe dzieło geologiczne wydawane w przeciągu kilku lat, ale już nie mogłam dostać przedostatniego numeru popularno-naukowego czasopisma wydawanego przez Akademię.

Wyczerpywanie się nakładu jest nieprawdopodobnie szybkie, chociaż nie są to małe nakłady. Nawet w roku 1944 przeciętny nakład książki dla dzieci, obliczonej głównie na potrzeby Związku Republiki Rosyjskiej, a nie całego Związku Radzieckiego, wynosił 50.000 egzemplarzy; literatura piękna dla dorosłych —

średnio 25.000; specjalne książki naukowe 5—8.000. Do handlu dostaje się jednak tylko niewielka ilość, gdyż książka jest rozprządzana przede wszystkim poprzez biblioteki, których zorganizowana sieć obejmuje całe państwo. 18 wielkich bibliotek państwowych, 87 obwodowych (oblast' — obwód odpowiada naszemu województwu), 2160 rejonowych (powiatowych), 6213 sielskich (gminnych) i nie ujęta w cyfry ilość ruchomych kompletów docierających do każdego chutoru, 640 bibliotek miejskich, nie licząc należących do związków zawodowych oraz bibliotek specjalnych — obsługują ludność Związkowej Republiki Rosyjskiej.

I to dosłownie obsługują. W Moskwie biblioteki są otwarte od 9 rano do 11 wieczór bez przerwy; a w ciągu roku zamyka się je tylko 2 razy: 1 maja i 7 listopada. Czy piątek czy świątek każdy może wejść do biblioteki bądź, by przeczytać gazety lub książki bądź, by wypożyczyć je do domu.

Moskwa jest dumna ze swych bibliotek. Państwowa biblioteka ZSRR imienia Wł. Lenina jest znana każdemu mieszkańcowi Moskwy i tym tysiącami czytelników na prowincji, którzy za pośrednictwem systemu międzybiblioteknych wypożyczalni korzystali z jej przebogactw zbiorów. Ofiarowana przez hr. Rumiancewa w roku 1811 społeczeństwu rosyjskiemu wegetowała w Petersburgu do 1862 roku. W roku tym została przeniesiona do Moskwy do wspaiałego kupieckiego pałacu, który zajmuje po dziś dzień. Lecz tuż obok wznosi się już wspaiałe gmach biblioteczny, bo zasoby biblioteki rosną w stopniu niebywałym. W 1862 roku liczyła 28.512 książek i około 1000 rękopisów; w roku 1864 miała już 125.000 tomów, w 1917 — trochę więcej niż milion, a w 1942 księgozbiór jej zawierał przeszło 9.600.000 książek i czasopism oraz powyżej 2.000.000 arkuszy rękopisów. Wzrost oszałamiający. Oczywiście, główną jego podstawą były zbiory przywiezione z klasztorów, cerkwi i magnackich siedzib; drugim potężnym źródłem są dwa egzemplarze obowiązkowe, trzecim wreszcie wymiana z wydawnictwami zagranicznymi. Opracowywaniem tego olbrzymiego księgozbioru i udostępnieniem go czytelnikom zajmuje się armia 1200 bibliotekarzy (w czasie obecnej wojny zmniejszyła się do 900 osób). Katalogi umożliwiający czytelnikowi wyszukanie żądanej książki liczą miliony kartek i zajmują kilka sal. Oprócz tego pracuje wspaiałe zorganizowana pracownia bibliograficzna, która udziela porad czytelnikom. Wydaje ona drukiem również aktualną bibliografię. Oto tematy kilku książeczek bibliograficznych wydanych w 1944 r.: I. Kryłów — w stulecie jego śmierci, bohaterowie pracy socjalistycznej, kobieta sowiecka w wojnie z Niemcami, J. Swierdłowa — 25-lecie jego śmierci, wielki rosyjski dowódca A. Suworow, rozgromienie Niemców pod Moskwą. Są to tylko przykłady, gdyż tego rodzaju wydawnictw biblioteka im. Lenina wydaje setki. To trzymanie ręki na pulsie życia, ta staranna obsługa czytelnika stwarza atmosferę, w której ludzie czują się dobrze i chętnie zachodzą do gmachu biblioteki. W r. 1940 z czytelników biblioteki korzystało 826.400 osób, a wypożyczeń było 4.000.000. A przecież biblioteka ta nie jest jedyną w Moskwie. Bogata, również kilkumilionowa państwowa biblioteka im. M. Gorkiego przy uniwersytecie moskiewskim otwiera swoje podwoje każdemu, kto pracuje naukowo, a są jeszcze inne biblioteki i czytelnie. Jeśli więc trudno nabyć w Moskwie książkę na własność, to łatwo ją poznać i z niej korzystać.

Wycieczka do Moskwy nie spełniła moich i zdaje się innych uczestników marzeń o nabyciu upragnionych książek, ale dała mi możliwość zobaczenia, jakie znaczenie ma dla społeczeństwa dobrze zorganizowana sieć biblioteczna i utrwaliła we mnie przekonanie, że jednym z najpilniejszych zadań w dziedzinie naszej kultury jest zbudowanie takiej sieci u nas w Polsce.

Regina Fleszarowa

# Uwagi i notatki

Od dawna interesuje mnie mechanizm ludzkich omyłek. Ilekroć spotykam W-skiego rozmowa z nim, nawet przygodna i biała, utwierdza mnie zawsze w przekonaniu, iż jest to człowiek mądry, prawy i bezinteresowny. Swojej działalności, ważnej i rozległej, nie podporządkowuje ani pysze, ani łatwym pokusom oklasków i kariery. Sypia teraz w nędznym, zimnym pokoiku, przykryty mizernym paltem, a jego posiłki są na ogół nie lepsze od pożywienia najuboższych. Gdyby chciał wyzszyć swoje obecne stanowisko, mógłby żyć łatwiej. Ale to go nie interesuje. Pracuje za to około 20 godzin na dobę. Obcuje z nim zawsze odnośnie wrażenie, iż jest człowiekiem o wiele ponad miarę ludzi przeciętnych. Jego argumentacja jest ścisła i przekonująca. Narzucając słuchaczom swoją wizję świata, dokonywa tego bez chwytów demagogii i tanich efektów. Jego racje posiadają wartość obiektywną i czegokolwiek dotykają — sięgają w formowanie nowych układów politycznych, społecznych i kulturalnych. Lecz od doktryny do spełnienia jej odległa jest droga. W-ski chce jak najlepiej. Czyny wszystko, aby tym odcinkom życia, na które ma pośredni lub bezpośredni wpływ, nadać kształt doskonały i trwalszy, niż to wszystko, co było naszym udziałem w ciągu lat ostatnich. Tymczasem w pewnym miejscu, wśród normalnego toczenia się twórczej myśli z urzędu do urzędu, poprzez biurka, zarządzenia i plakaty, aż po zetknięcie z konkretnym splotem spraw i zagadnień, mądrość, wiedza i doświadczenie tego człowieka, ostrość jego sądów, dobra wola i zmysł przewidywania — wszystko gdzieś się zatracza, kruszy i maleje. Gdzie jest omyłka? Jak wynaleźć punkt, w którym zarysowuje się sprzeczność pomiędzy twórczą, organizującą „myślą” człowieka, a ciemnym chaosem i kipiącym wirum ludzkich spraw? Czy W-ski jest tylko doktrynerem, czy też ludzie z głupoty, z nieświadomości i ze złej woli niszczą jego mądrość?

Gdy mówi się o początkach chrześcijaństwa, zazwyczaj jego młodej sile przeciwstawia się moralny i polityczny rozkład upadającego cesarstwa. Natomiast rzadziej przyciąga naszą uwagę zagadnienie inne: czym dla Rzymian byli chrześcijanie, jak oni ich widzieli.

Myślę, że kulturalnych Rzymian najbardziej musieli do chrześcijaństwa zaciągnąć styl życia zbierających się w katakumbach. Wolnomyślnictwu Rzymu przeciwstawiali fanatyzm zwartej doktryny. Cywilizacji — ubóstwo. Radościom i rozkoszom — ascetyzm. Uprzywilejowaniu rządzących — hierarchię cnot. Zbytkowi — brud i brzydotę. Sztuce — jednostronność religijnego sekciarstwa. Minęły cztery wieki, zanim Augustyn napisał „De civitate Dei”, a na rozkaz Konstantyna wznieść pocztę bazylikę ku czci Bożej Mądrości. Dwadzieścia wieków musiał świat czekać na Giotta. Można przypuścić, że dla Rzymianina z czasów Tytusa przyjęcie chrześcijaństwa było równoznaczne z szaleństwem i ze zdradą wielkości i kultury Imperium. Gdyby Henryk Massis żył w tych czasach, mógłby także napisać swoją „Obronę zachodu”, lecz wymierzona przeciw chrześcijanom.

Cywilizowani zawsze lekają się buntu tych, którzy są brzydki, fanatycy i niosą w sobie dość wiary i nadziei w nowe życie, aby stare niszczyć z triumfującą radością. Lecz ludzie przywiązani bardzo do tych form materialnych, w których wrosli, rzadko wyczuwają w porę groźne ostrzeżenia historii. Zdarza się, że w przeddzień katastrofy, a nawet na gruzach swojej egzystencji, ufają jeszcze w jakieś mgliste ocalenie i hodują w sobie zawodną nadzieję w zmienności losu.

Gdy w przepych i wyrafinowaną kulturę Bizancjum wkraczali krzyżowcy pod wodzą pobożnego Gotfryda, „przyjacieli Chrystusa” i „apostołów równy” cesarz Aleksy nie przypuszczał, iż nie do potężnego i kulturowo górującego nad zachodem cesarstwa należą przyszłość i Europa, lecz do tych surowych i nieokrzesanych rycerzy.

\*

Kto chce poznać nędzę i manowce polskiej szlacheckich, niech czyta Henryka Rzewuskiego. Był piewą ducha szlachty, żarliwym apologetą narodowych okaleczeń, więc też jak nikt inny pokazał ich rozmiary. Zamierzał przekazać potomnym cnoty, lecz mimowoli zaświadczyl o grzechach. Popularny „Listopad” jest wprawdzie najlepszą powieścią Rzewuskiego, lecz inne jego książki jaskrawiej obnażają ciągle jeszcze żyjące w nas skazy. Myślę o „Mieszaninach” wydanych pod pseudonimem Bejły, o „Pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego”, o wstępach do „Adama Smigielskiego”, „Zamku Kaniowskiego” i korespondencji z Michałem Grabowskim, który w młodości przyjaźnił się z Goszczyńskim, a później zagubił się w mrokach reakcjonizmu społecznego i politycznego.

W tych samych latach, lecz ze stanowiska wręcz odmiennego niż Rzewuski, z pasją satyryki i gniewem człowieka walczącego, pokazał tego samego ducha szlacheckich

Edmund Chojecki, w ogromnym trytomowym „Alkhadarze”, najciekawszej chyba i najbar dziej zdumiewającej powieści polskiej.

Bielski martwi się, czy jego mozaikowa przeszłość polityczna nie utrudni mu obecnie kariery. Martwi się tak szczerze, iż przy każdej okazji wypowiada sądy, które są „plus catolique que le pape”. Niestety, jesteśmy narodem służalczym. Minęły czasy ubogich szlachciców, czeplających się pańskich dworów, pozostał zato ich sposób myślenia. Hodujemy butę od święta, a płaszczenie się na codzień. Demokratyczna godność jest w nas płytka i chętnie wyładujemy się w frazesach. Pod jej cienką warstwą toczy nas i w sposobie myślenia i w codziennym życiu najmroczniejszy reakcjonizm.

Rozmawiałem z X o różnych wspólnie nas obchodzących zagadnieniach. X jest człowiekiem inteligentnym, wrażliwym i często mówi rzeczy słuszne i wnikiwe. Gdy spotkałem go dnia następnego, w innej sytuacji, wśród wielu ludzi, jego rozsądek stopniał nagle w natłoku zajęć, w pośpiechu i w planach. Z radością wyrzucił z siebie jednym tchem sądy tak lekkomyślne i powierzchowne, iż mogłyby uchodzić za zabawę, gdyby od czasu do czasu nie wciskał się w nie twardy akcent apodyktyczności.

To przerażające, jak my wszyscy, myślę w tej chwili o intelektualistach, bywamy nieodpowiedzialni za własne słowa, z jaką łatwością dajemy się ponieść tanim efektom i jak gorzkie bzdury z tego wynikają. Teraz, kiedy wszystkim nam brak spokoju, ciszy i równowagi, gdy żyjemy wśród zagęszczenia zdarzeń, ta właściwa Polakom skłonność do nieodpowiedzialności i niecierpliwiejszej łatwości wylazi z nas jaskrawiej, niż kiedykolwiek przedtem. Brak powagi, wewnętrznej dojrzałości. Albo na odwrót: namaszczenie, kapłaństwo, nieznosny koturn. Błażeństwo i celebrowanie.

Bardzo niewiele ludzi usiłuje nie zataczać się od jednego do drugiego z tych przeciwności.

Jerzy Andrzejewski

## Wyznanie autora Przed premierą „Męża doskonałego”

Każde wyznanie autorskie jest nieco wstydlive i nie zawsze jest skromne. Wyznanie moje o dramacie p. t. „Mąż doskonały” będzie zapewne też takie.

Pragnę jednak coś obronić, coś uprzedzić i wyjaśnić — dlatego piszę te słowa.

Dramat powstał — czemu sam nie mogę dać wiary — po powstaniu w Warszawie. Chciałem to potworne, tragiczne „wszystko” zamknąć w kształt artystyczny. Jak zrobić, aby aktualność nie stała się sloganem, publicystyką, lecz czymś, co by miało przenośnię zrozumiałą i sens artystyczny wydobyty z rzeczywistości opanowanej? Jest stara i nieobalona dotąd konwencja, aby szukać odpowiedników lub aluzji — w przeszłości. Wybrałem motyw Hioba. Ruiny, zło, niezawinione cierpienie — a zwłaszcza ruiny — czyż nie wyraża, nieomal jaskrawa analogia? Było więc tematyczne zbliżenie do motywu Hioba. Mogłem być wybrać inny motyw, inne czasy i ludzi innych. Dość tego w historii świata. Wydaje mi się, że jest głębsza łączność pomiędzy Hiobem a światem i że w tej historii jest nurt doskonałe nam znany.

Lecz to nie wszystko; ideologiczne zbliżenie nie stanowi nawet połowy zamiaru — to zaledwie cząstka. Pomysł zaczął się rozrastać i im bliżej realizacji, tym „tematyczność” traciła pierwszoplanowe znaczenie, ustępując miejsca inspiracjom artystycznym.



Ofiara reformy rolnej

rys. Eryk Lipiński

Chciałem inaczej, niż dotąd napisać dramat, wypowiedzieć się innymi środkami, niż czyniłem dotychczas. Posłyszałem naraz dramat o Hiobie w kształcie muzycznym i rosło to architektonicznie, jak budowa sonaty. Realistyczne odtworzenie historii Hioba byłoby nie wytłumaczone artystycznie poza samą zewnętrzną analogią ruin. Zresztą od razu postanowiłem zlekceważyć legendę i ukazać Hioba raczej na tle dokonanej legendy, niż w okresie jej stawiania się.

Lecz w takim razie, co będzie akcja? Co się dzieje w dramacie, który opiera się na znanych wydarzeniach i równocześnie ich się wyzbywa? Akcja, dzieje się, jak wiadomo, jest najsilniejszą konwencją dramatu. Lecz nieraz już akcja była na scenie podważana. Spróbowałem odsunąć ją bardziej w głąb, nieomal za kulisy, a na scenę wprowadzić interpretację zdarzeń. Na plan pierwszy wysunął się wobec tego dialog, konwersacja, udratyzowana rozprawa filozoficzna. Mało tego — tak wynikło z logiki zamiaru, że musiało żyć proscenium, na którym odbywają się nie zdarzenia, lecz — opowiadania i to opowiadania o opowiadaniu. Są w utworze dwa intermedia, na których wspiera się filozoficzna podbudowa „historii Hioba i historii świata”.

Skoro droga dramatu poszła ku intelektualizacji, dialog, ten najtrudniejszy środek ekspresji, musi mieć inny wygląd. Dlatego dialog wyzbył się realistycznego rysunku pauz, milceń, skrótów, faluje szeroko i przechodzi często w „dialog-monolog”. Dialogi tego rodzaju domagają się śpiewa, nurtu emocjonalnego, temperatury i temperamentu. Z dialogiem musiało się łączyć zagadnienie języka, jego nowocześnieści i jego elementów znaczeniowych i muzycznych. Chciałem, aby język był prosty, czysty, kadencja zdania równa i jednolita.

Zgromadziwszy elementy nie nowe, dawszy im jedynie „nowe” rozplanowanie, musiałem oprzeć wszystko na starej zasadzie, by wzruszać, interesować, — samemu oddalić się, stać na uboczu i powiedzieć: „niech robią swoje ci jacyś ludzie z „hiobiady”.

W rozplanowaniu treści rzecz rozwija się w trzech płaszczyznach równoczesnych: historia Hioba, która „była” (o czym często się mówi), żywa jego historia, która jakoby jest historią świata, i wreszcie ciągle wyzwalanie się z natłoku faktów i dochodzenie do ich obiektywizacji.

Czy to, co tu opisałem, jest nowe i inne w dramacie?

„Mąż doskonały” nie otworzy nowej drogi dramatu, tych ambicji nie ma; zadowolony potwierdzeniem o wiele skromniejszym, że jest, mówiąc językiem muzycznym, etiudą dramaturgiczną i świadomym ustąpieniem trudności w trosce o wyjście naprzeciw nowej sztuce scenicznej.

Czy to się udało?

Jerzy Zawieyski

## Rozmowa z Francuzem

W pociągu, na linii Zabkowice—Kraków, poznałem przypadkowo kapitana wojsk francuskich, Henri Gateau. W 1940 r. dostał się do niewoli; przywieziono go najpierw do Rawy Ruskiej, następnie do Lignicy, wreszcie do Lenfeld pod Berlinem. Z obozu w Lenfeld zdołał zbiec w grudniu 1944 r., wraz z kilku kolegami i po wielotygodniowych tarapatkach przedostał się do Polski.

Rozmawiamy na odkrytej „węglarce”; musimy przekrzykiwać wiatr, który usiłuje zagłuszyć nasze słowa. Kpt. Gateau wspomina Niemców i hitlerizm z nieklamany wstępem, opowiada o tęsknocie za daleką swoją ojczyzną i rodzinnym Paryżem. Zdumiewa się gościnnością, którą wszędzie u nas spotykał; zachwyca znajomością języka i kultury francuskiej u Polaków. A nie są to, doprawdy, pochwały banalne ani zdawkowe komplementy. Mój rozmówca szczerze zainteresował się polską literaturą, kulturą, ludźmi. Wpadł mu w ręce przekład „Pana Tadeusza”, dokonany przez Paul Cazina. Mi-

mo, że jest to przekład prozaiczny, Gateau tak się zachwycał książką, że postanowił zdobyć ją na własność. Nie mając pieniędzy ofiarował tomik Musseta, przywieziony jeszcze z ojczyzny i z wielkim trudem ukrywany w obozie, by tylko zdobyć arcydzieło mickiewiczowskie.

Przed wojną trudno było nakłonić Francuzów do czytania książek polskich. W piwnicach firmy „N. R. F.” („Nouvelle Revue Française”), butwiały luksusowe wydania, za które słono płaciły nasze fundusze propagandy. A oto kapitan francuski — wcale nie literat, lecz inżynier — po 4½ latach obozowych udręczeń, bierze do ręki Mickiewicza — i płonie zachwytem. Może trzeba było tych lat wojennych, by Francuzów zbliżyło do polskiej kultury? Może blakając się po naszych lasach i polach, kryjąc przed niemieckim pościgiem — francuski kapitan nauczył się wpatrywać w krajobraz Polski, smakować w naszych sprawach i ludziach? W tak osobliwych warunkach zaczyna promieniować kultura polska i przenikać do cudzoziemskich serc...

Wojciech Natanson

## Archiwum Literatury Podziemnej Odezwa Związku Zawodowego Literatów Polskich

Przez długie pięć lat okupacji życie literackie w Polsce płynęło w podziemiach. Wyшло nieco książek tajnie drukowanych, kilka antologij poetyckich, wiele utworów powiełanych i pism literackich. Główne jednak formy tego życia były inne: na specjalnych kółkach literackich czytano nowe utwory, dyskutowano, krytykowano. Już dzisiaj pamięć o tych formach tajnego życia literackiego ginie. Nie wolno, by zaginęła.

Związek Zawodowy Literatów Polskich, ożywiony pragnieniem, by poznać i w pełni ocenić związane z tą sprawą wysiłki i prace, postanowił stworzyć Archiwum Literatury Podziemnej. Znajdą się w nim jak najbardziej wyczerpujące materiały, dotyczące tak samej twórczości literackiej ostatnich lat, jak jej rozpowszechniania w społeczeństwie. Materiały te są dziś w posiadaniu osób prywatnych. By literatura i nauka mogły z nich korzystać, powinny się znaleźć w posiadaniu specjalnej instytucji: w Archiwum Literatury Podziemnej, które gromadzić będzie wszelkie teksty — wiersze, prozę, dramaty, eseje, rozprawy krytyczne — powstałe w czasie okupacji. Archiwum poświęci szczególną troskę materiałom dotyczącym twórczości młodych, którzy nie dożyli wyzwolenia. Będą przyjmowane wszelkie relacje o organizacji i sposobach, do jakich musiało się uciekać życie literackie tej epoki, bez względu na wagę środowiska, skąd relacja pochodzi. Związek Zawodowy Literatów zwraca się do wszystkich, którzy mają te sprawy w świeżej pamięci, by zechcieli wiadomości swoje spisać i przekazać Archiwum.

Wreszcie Archiwum pragnie zebrać możliwe najbogatszy zbiór pism, ulotek, druków, odezw, materiałów powiełanych, o ile dotyczą literackiego tych lat. Archiwum stawia sobie cele wyłącznie literackie i naukowe. Materiały nie będą obecnie drukowane, chyba w wyjątkowych wypadkach, po porozumieniu się z nadsyłającym. Służyć będą przyszłości, pokoleniom, którym musimy pozostawić świadectwo naszych dni.

Archiwum mieści się w Krakowie, ul. Krupnicza 22, dom Związku Zawodowego Literatów Polskich. Prosimy kierować wszelkie materiały na adres powyższy.

## KRONIKA

Aleksy Nowikow-Priboj. W roku 1944 zmarł znany pisarz rosyjski Aleksy Nowikow-Priboj. Urodził się w 1877 r. jako syn chłopca. Powołany do wojska został marynarzem. Brał udział w bitwie koło wyspy Cusima. Związany z ruchem rewolucyjnym 1905 roku, nie mógł wrócić do Rosji w okresie reakcji i przebywał za granicą. Dłuższy czas gościł u Gorkiego na wyspie Capri. Właściwa działalność pisarska Nowikowa-Priboja zaczęła się dopiero po rewolucji 1917 r. Napisał szereg powieści morskich (m. in. „Podwodni ludzie”, „Zew morza”, „Kobieta na morzu”, „Słona kapiel”). Najlepszym jego dziełem jest „Cusima”, historia klęski morskiej Rosji w wojnie z Japonią. Po polsku powieść ta ukazała się w przekładzie Wł. Broniewskiego. „Cusima” jest jednym z większych osiągnięć literatury radzieckiej. Ostatnim utworem Nowikowa-Priboja była powieść „Kapitan pierwszej rangi”.

„Toulon.” Pisarz francuski Jean Richard Bloch napisał w roku 1944 sztukę patriotyczną pt. „Toulon”.

„Reader's Digest.” Jest to tytuł najpopularniejszego czasopisma w Stanach Zjednoczonych. Nakład jego wynosi 7 milionów egzemplarzy, choć cena jego jest dwa i pół razy wyższa od ceny innych czasopism. „Reader's Digest” umieszcza tylko przedruki najbardziej interesujących artykułów, publikowanych w innych wydawnictwach. Mówi się o tym, że redakcja „Reader's Digest” najpierw drukuje artykuły w innych wydawnictwach, by je później umieścić w swoim piśmie.



Jedna pani powiedziała